



*Krople wody w rzece życia.
Wspomnienia mieszkańców
Nowego Sącza i okolic.*

red. Marcin Wilk



Antologia zrealizowana została w ramach zadania
„Sądeckie Dni Literatury”
z programu Partnerstwo dla Książki.



**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO
POCHODZĄCYCH Z FUNDUSZU PROMOCJI KULTURY

Spis treści:

<u>Wstęp</u>	<u>4</u>
<u>„Hindus i jego precjoza” (Jolanta Wątorska)</u>	<u>6</u>
<u>„Wspomnienie” (J.P.)</u>	<u>8</u>
<u>„Rower” (Grażyna Łukasik)</u>	<u>15</u>
<u>„Czas przeszły niedokonany” (C.S.)</u>	<u>20</u>
<u>„Jestem kroplą wody w rzece życia” (Józefa Majewska)</u>	<u>28</u>
<u>„Cztery pory roku miłości” (Z.B.)</u>	<u>35</u>
<u>„Jak wypełnić tę kartę” (Irena Ciepielik)</u>	<u>42</u>
<u>„Wujek Albin” (Katarzyna Tokarczyk)</u>	<u>56</u>
<u>„Obierki” (Jadwiga Marzec)</u>	<u>58</u>

Wstęp

„Wspomnienie” w starym przedwojennym „Ilustrowanym słowniku języka polskiego” Michała Arcta lokalizuję na stronie 564. Dowiaduję się stamtąd, że to „przywiedzenie sobie albo komu czego na pamięć, przypomnienie, odnowienie się w pamięci, obudzenie w pamięci, zrobienie wzmianki, napomknięcie; to, co sobie przypominamy, obraz zdarzeń minionych, odnowionych w pamięci”.

Definicja ta, przyznać trzeba, brzmi bardzo ciekawie. Wynika z niej na przykład, że wspominać można sobie, ale można też innym. To dość ważne rozróżnienie, bo zwraca uwagę, że opowiadamy nie tylko dla siebie. Sam akt wspomnienia domaga się poza tym wielu aktywności z naszej strony: przywiedzenia, odnowienia, obudzenia, napomknięcia.

Wiąże się to zatem z ogromną pracą. W przywoływanej tu definicji mowa jest też o obrazie. To w zasadzie nie domaga się komentarza, przy czym zawsze warto przypomnieć, że dobra opowieść powinna się niejako ujawnić przed naszymi oczyma. W Arctowskim słowniku kluczowym jednak, jak mi się zdaje, jest pojęcie „pamięci”. To na nim zasadza się istota wspomnienia.

Już sama bliższa analiza tak prostej – słownikowej przecież – definicji nastrocza wiele trudności i pokazuje, jak tak niewinne, wydawałoby się, zdarzenie, jakim jest wspomnienie – wymaga wysiłku.

Wbrew pozorom nie wszystkim jest dane wspominać. Nie przy każdej okazji. I nie każde wspomnienie nadaje się do opowieści innym. Zawsze jednak wspomnienie odsyła nas do tego, co za nami. „Wspomnienie w naturalny sposób wiąże się z powrotem do przeszłości” – słusznie pisze jedna z autorek niniejszej antologii.

Autorki i Autorzy wspomnień, z którymi się tutaj z Państwem dzielimy, wykonali imponującą momentami pracę, której miałem zaszczyt być opiekunem. Na doskonały pomysł pisania wspomnień wpadła pani Dorota Wcześny z Sądeckiej Biblioteki Publicznej, która zwróciła się z propozycją poprowadzenia warsztatów na ten temat. Po mojej stronie leżało przygotowanie do pracy nad wspomnieniami. Podczas dwóch części opowiadałem o specyfice wspomnień jako takich, o pracy pamięci, a więc i podpowiadałem, jak ją pobudzić, podsuwałem literackie przykłady (z Moniką Żeromską czy Virginią Woolf na czele), wskazywałem na trudy

i przyjemności pisarskiej pracy. Posiłkowałem się lekturami i obserwacjami, ale także swoim doświadczeniem reporterskim.

Wśród dziewięciu prezentowanych w tej antologii wspomnieniowych opowieści zetkną się Państwo z różnymi stylami i emocjami. Opowieści te bywają radosne, bywają też nostalgiczne, a nawet tęskne. Znalazło się tu również miejsce na opowieść o poszukiwaniu własnej historii. Autorzy i Autorki często przywołują to, co już dalekie i odległe, a jednocześnie nadal emocjonalnie bliskie. Nie zdziwi również pewnie czytających, że wiele tu historii miłosnych.

Wspomnienie to specyficzny gatunek literacki. Obraz rzeczywistości tu przedstawiony może się wydawać czasem zamazany czy niekompletny. Może warto więc zaznaczyć, że zamysł prezentowania niniejszych wspomnień nie miał charakteru naukowego. Z tego też względu redakcja zdecydowała się nie ingerować w teksty. Uszanowano ponadto decyzję niektórych piszących o zachowaniu anonimowości. Pozostawiono tym samym wspomnienia w ich pierwotnym indywidualnym kształcie i stylu. Dzięki temu wspomnienia te zachowują pamięć w szerokim sensie tego słowa.

Życzę Państwu dobrej lektury!

Marcin Wilk

Hindus i jego precjoza

Wspomnienie. Zastanawiam się, co to jest wspomnienie. Jak je po swojemu zdefiniować, by łatwiej mi było o nim napisać. Wspomnienie w naturalny sposób wiąże się z powrotem do przeszłości. Mam więc cofnąć się w czasie i znaleźć się w tej przestrzeni, w której coś się działo i o tym wydarzeniu, które było kiedyś tam, mam opowiedzieć.

I teraz myślę, jaką sytuację przywołać, ściągnąć z przeszłości, wygrzebać z historii mojego życia, by odtworzyć ją na nowo, czyli dzisiejszymi oczyma mam spojrzeć na wczoraj. Nie ukrywam, że to dla mnie trudne, bo ja nie lubię wspominać. Wszelkie resentymenty drażnią mnie. To tamte lata, tamte dni, tamten czas. To było.

Oczyma wyobraźni widzę otoczenie, pamiętam nawet porę dnia i sylwetki osób, i te mgnienia, w których postaci tego wydarzenia coś mówią. Ale nie pamiętam zapachu ani słów nie słyszę. Było coś. Teraz zamglone i bardzo odległe, czyli mocno zniekształcone. Toteż opis tamtej sytuacji będzie taki sam, czyli daleki od prawdy.

Październik spędzony we Włoszech, to będzie to. Dam tytuł temu wspomnieniu „Hindus i jego precjoza”.

Lubiłam spacerować wzdłuż morza Liguryjskiego. Uwielbiałam patrzeć, jak wielkie cielsko wody zmienia się dosłownie co minutę. Raz huczy i groźnie pomrukuje, uderzając o skały, by później zachwycić swoim spokojem. Wielobarwność jego wód urzekła. Oczy moje rejestrowały kolory. Tuż przy horyzoncie morze było granatowe, potem połyskiwało ciemną zielenią, by zmienić się w błękit paryski. Blżej brzegu wody miały kolor rozsrebrzonego seledynu, który rozpryskiwał białe krople ze światłem w ich wnętrzu. Cudowny widok, dający ukojenie duszy.

Zamyślona usłyszałam „Buon giorno”. Odwróciłam głowę. Przy mnie stał Hindus. Szczuplutki, malutki. Na chwilę znalazłam się w Indiach, choć nigdy tam nie byłam. Jego czarne oczy miały wyraz oczekiwania i nadziei. Chciał sprzedać choć jeden z pierścionków, które lśniły w kasetce wyłożonej aksamitnym płótnem. Te świecidełka wabiły mnie i moje oczy. Były tam bransoletki, pierścionki, kolie i kolczyki. I wtedy znowu przeniosłam się do krainy „Baśni z tysiąca i jednej nocy”, w której szczodry kochanek obdarowuje swoją ulubienicę tym, co ona kocha najbardziej, i tym, co budzi w niej pożądanie. Klejnoty kochają prawie wszystkie kobiety. Ja też.

I ja za namową hinduskiego handlarza wybieram świecidełko dla siebie. Nie mogę się zdecydować, które. On podbija cenę, ja chcę zapłacić mniej. I wtedy, gdy czas braku porozumienia, braku wyboru wydłuża mi się, zaczęły się pojawiać symptomy zniecierpliwienia i tajonej złości, zobaczyłam ten pierścionek z czerwonymi przeźroczystymi kamieniami. Włożyłam go na palec, pozostał na moim ręku do dzisiaj. Hindus obniżył mi cenę z 30 na 10 euro. Grzebię w kieszeni, szukam pieniędzy, znajduję je. Daję mu, a jego oczy uśmiechają się z satysfakcją. Noszę go, ten pierścionek. Kiedy patrzę na niego, widzę twarz hinduskiego sprzedawcy, jego zdeformowane palce i morze. Słyszę odgłos fal. Czuję ciepło dnia, nawet smak i zapach powietrza. No i byłam w baśni i w Indiach.

To by było wszystko.

Ciekawe jest jednak to, że w tak krótkim czasie można doświadczyć tak wiele. Bez mojego większego udziału wzbogaciłam się o przeżycia, które opisałam. Życie to naprawdę fascynujące zjawisko.

Wspomnienie

*Wsi wesoła, wsi spokojna
Gdzie ta droga, która mnie do Ciebie zaprowadzi?
Jak wrócić do tej swojskiej chaty
Gdzie przed laty
Życie zwykłe i niezwykłe się toczyło.*

*Wsi wesoła, wsi spokojna
Dzieciństwo pachnie bukietem polnych kwiatów,
Zerwanych na łące.
Smutki i lęki zacierają się niczym leśny szlak zapomniany.
Ciepłe mleko pomaga na wszystko.*

*Wsi wesoła, wsi spokojna
Chcę tam wrócić... lecz nie mogę.
Było... minęło... przeszło.
Doszłam – dorostałam – dojrzałam.
Wygrałam.
Bilet do pięknych wspomnień, utkanych z barw przeszłości.*

Współczesny świat narzuca nam szybkie tempo życia. Wykonujemy codzienne obowiązki, chodzimy do pracy, zajmujemy się domem i dziećmi, od czasu do czasu w ramach relaksu przeczytamy książkę, pooglądamy telewizję czy też jesteśmy wpatrzeni w telefony, które dosłownie zżerają nam każdą wolną chwilę. Dopasowując się do nowej rzeczywistości, nie mamy czasu, żeby się zatrzymać, pomyśleć, powspominać dobre lub złe momenty, które miały miejsce w naszym życiu. Momenty, które czegoś nas być może nauczyły lub dzięki którym jesteśmy tacy, jacy jesteśmy.

A ja właśnie lubię rozpamiętywać. Obserwować i wspominać. Porównywać i doceniać pewne rzeczy. Kiedy za oknem szaro i ponuro, kiedy kończę dzień wypełniony po brzegi rozmaitymi obowiązkami, zawsze staram się znaleźć odrobinę czasu dla siebie – by pomyśleć, cofnąć się w myślach do przeszłości, znaleźć tam to, czego nie mogę odnaleźć teraz. Kiedy tak siedzę w swoim fotelu, zapadając się w jego miękkość, zaczynam swoje ręczne robótki: wyszywanie, haftowanie, dzierganie na drutach, ot takie kobiece zajęcie. Zawsze wówczas po piętnastu minutach wykonywanej pracy zatapiam się myślami w głębinę moich wspomnień, wyciągam jedno z nich i porównuję z sytuacją współczesnego życia. Dlatego też pozwolę sobie czasem poprzeplatać moje wspomnienia komentarzem i odniesieniem do rzeczywistości, w której obecnie tkwię.

Wychowałam się na wsi i spędziłam tam większość swojego życia. Minęło tyle lat, a ja nadal wszystko dokładnie pamiętam. Pamiętam zapach chleba pieczonego w piecu, pamiętam zapach siana, pamiętam ziemię, po której chodziłam boso podczas wykopków, pamiętam wiatr szeleszczący i odbijający się od gałęzi drzew otaczającego lasu. To piękne uczucie – zamknąć oczy, powrócić w myślach do tych chwil, zatopić się w nich i dosłownie poczuć te momenty. Mogę z całą pewnością powiedzieć, że miałam bardzo szczęśliwe dzieciństwo, mimo iż dalece odbiega od dzieciństwa moich wnuków, wychowywanych dzisiaj.

Mój tata posiadał ogromne gospodarstwo. Było nas w domu siedmioro – nie licząc rodziców, trójka mojego rodzeństwa: Stefek, Aniela i Gosia oraz siostra mojego taty – ciocia Jadwiga. Mieszkaliśmy w drewnianym domu, ogrzewanym piecem kaflowym. Obok domu znajdowała się zagroda, w której mój tato chował różne zwierzęta.

Pamiętam, że jako dziecko byłam strasznym niejadkiem. Przypomina mi się moment, w którym mama odprawiała codzienny jedzeniowy rytuał. Zawsze, kiedy nie chciałam jeść stawiała przede mną świeczki i je zapalała. Wtedy mogłam je zdmuchnąć – pod warunkiem, że zjem łyżkę kaszy, makaronu z mlekiem czy chleba z masłem. Kiedy zjadłam, zdmuchiwałam świeczki, po czym mama je zapalała i tak w kółko. Aż zjadłam wszystko.

Podobnie jak dzisiaj, chociaż może w nieco innym stylu – kiedy wnuczka nie chce zjeść śniadania, wystarczy jej włączyć bajkę na telefonie lub w telewizji, i gotowe. Z tym wyjątkiem,

że zaczyna się już od tego uzależniać. W moim przypadku rytuał świeczkowy trwał może pół roku, na pewno nie więcej.

Już jako dziecko byłam nauczona, że rodzice nie mogą mi poświęcać tyle czasu, ile bym chciała. Praca na gospodarstwie zobowiązuje, a było jej bardzo dużo. Wstawało się skoro świt i kończyło późnym wieczorem. W międzyczasie kilka krótkich przerw na posiłki, nabranie oddechu i powrót do pracy.

Dlatego też na początku całe dni spędzałam z ciocią; ona jako jedyna zostawała w domu by wypełnić całe mnóstwo domowych obowiązków: gotowanie, pranie, sprzątanie, i tak dalej. Gdy podrosłam na tyle, że mogłam się już sama sobą zająć, było to oczywiste, że chcę towarzyszyć rodzeństwu i rodzicom podczas prac gospodarczych. Przynajmniej były to znacznie ciekawsze poczynania niż bawienie się w domu. Błędny byłoby założenie, że ktoś w tym czasie roztaczał nade mną nieustanne zainteresowanie i opiekę. Owszem, byłam niedaleko rodziców i rodzeństwa, którzy mieli mnie na oku, ale nie mogłam im przeszkadzać i plątać się pod nogami. Dlatego też, kiedy wyjeżdżali daleko za las, żeby na przykład skosić łąki lub wykopać ziemniaki – ja zawsze byłam nieopodal nich.

Kosiło się wówczas kosą, zboże natomiast sierpem. Było to zajęcie czasochłonne. Ja zazwyczaj zbierałam polne kwiaty i robiłam z nich bukieciki, chodziłam do lasu lub bawiłam się szyszkami i kamieniami. Kiedy o tym wspominam, zawsze na myśl przychodzi mi jedno wydarzenie. Czas żniw i wykopków – pole taty znajdowało się za lasem, kawał drogi od naszego domu. Zazwyczaj wstawało się już o świcie, tata przygotowywał furę, zaprzęgał konia i pakował wszystkie potrzebne rzeczy. Mama z ciocią przygotowywały prowiant na cały dzień – nie mogliśmy pozwolić sobie na przerwę, żeby wrócić do domu, bo cenny czas uciekał. I tak zapakowani pojechaliśmy, przejechaliśmy las i znaleźliśmy się na kawałku naszego pola ziemniaków, które miały być wykopane.

Początkowo próbowałam pomóc wszystkim, ale, jak to dziecko – wrzucałam ziemniaki nie tam, gdzie trzeba, w związku z czym tata odgonił mnie od pracy i kazał iść się bawić samej. Jak już wcześniej napomknęłam, chodziliśmy boso po ziemi, zwłaszcza podczas wykopków, kiedy była krucha i miękka jak puch (do dziś mi zostało, że chodzę po trawie i nie tylko, boso). Nagle niespodziewanie nadepnęłam na żądło osy. Moja noga momentalnie spuchła, strasznie

płakałam i byłam nie do zniesienia. W końcu dorośli kazali mi samej wrócić do domu – powiedzieli, że drogę przecież znam i na pewno sobie sama poradzę. Cóż mogłam zrobić? Miałam pięć lat, wiedziałam, że nikt się mną nie zajmie i musiałam sobie poradzić. Pamiętam, że całą drogę przepłakałam, a zanim wróciłam do domu, to opuchlizna z nogi już zeszła. Przeżyłam.

Teraz, jak o tym myślę i porównuję ze współczesną opieką i wychowywaniem dziecka, to są dwa różne spojrzenia, dwie różne wersje. W dzisiejszym świecie takie sytuacje nie mogłyby mieć miejsca. Kto z rodziców puściłby samo dziecko, żeby wróciło do domu przez las? Zmienił się model wychowywania, rodzice poświęcają dzieciom czas – bo mają go paradoksalnie więcej i mogą sobie na to pozwolić. Otaczają dziecko opieką, pilnują jego terminarza, kontrolują wyjścia do kolegów i koleżanek, mają oczy dookoła głowy. Zmieniły się też okoliczności. Na przysiółkowej wsi każdy każdego znał, każdy każdemu pomagał. Wysłanie dziecka po coś potrzebnego chociażby do sąsiadów za las, do znajomych gospodarzy, nie wiązało się z żadnym niebezpieczeństwem. Dzisiaj często nie znamy tak dobrze nawet swoich sąsiadów, wymieniając jedynie przysłowiove: „dzień dobry” i „do widzenia”. Nie mamy pewności, kogo na swej drodze spotka nasze dziecko.

Wyjmuję czerwone nici z walizki, w której zgromadziłam już prawie wszystkie kolory. Nawlekam na igłę i przeciągam przez płótno. Znów zapadam się w zadumę i znajduję się tym razem na wysokiej czereśni. Była to jedna z moich ulubionych rozrywek. Z niezwykłą zwinnością potrafiłam się wdrapać na każde drzewo – orzecha, wiśni, jabłoń czy czereśnię. Wspinałam się jak najwyżej, by móc dokładnie oglądać przestrzeń znajdującą się dookoła mnie. Łąki, pola, lasy, rzekę, pociąg jadący w oddali, dzieci bawiące się na sąsiednim podwórku. Zresztą w sezonie mogłam się najeść do syta owoców i pstrykać z góry pestkami w starsze rodzeństwo. Nogi i ręce miałam całe podrapane – ale to mi nie przeszkadzało. Korony drzew były moim azylem, przystanią, w której często się chowałam, kiedy chciałam być sama. A lubiłam się chować. Oj tak.

Pewnego razu, mając około sześciu lat, wykorzystałam moment, kiedy wszyscy wokół byli zajęci i niepostrzeżenie wbiegłam cichutko do stodoły. Nie wiem, o czym wtedy myślałam, ale pamiętam, że bawiłam się w dom. Miałam ze sobą zielonego pluszowego misia z czerwonymi guzikami imitującymi oczy. Dostałam go od chrzestnej matki i od tamtej pory miś był moim

nieodłącznym towarzyszem zabaw wszelakich i najlepszym przyjacielem. A na imię mu było Tadek – zresztą tego misia mam do dziś, co prawda zagrzebany jest w jakimś pudle z tysiącem rupiec i innych rozmaitych rzeczy na strychu, ale nigdy nie byłam w stanie go wyrzucić ani dać nikomu innemu.

Trzymając Tadek pod pachą, wspięłam się po szczeblach drabiny na pięterko, na którym składowane były snopki siana. Tadekowi bardzo się te snopy podobały – wyplotłam mu zresztą małe słomiane łóżeczko, a ja sama ułożyłam się obok na większym snopku. Po długiej zabawie zasnąłam. Przebudziwszy się usłyszałam wołające mnie głosy. Moje imię wykrzykiwali kolejno: mama, tata, rodzeństwo. Ale ja milczałam. Skuliłam się pomiędzy snopkami jeszcze bardziej, ściskając Tadek i czekałam. Tylko nie wiem na co.

Słyszałam, że do stodoły wszedł tata, ale dalej się nie odzywałam. Nie wpadł na pomysł, że mogłam przecież wejść po drabinie do góry, więc pobieżnie przeszukując pomieszczenie wyszedł. Wołające mnie głosy z podwórka były coraz bardziej krzykliwe i zdenerwowane. Po dwóch godzinach – tak mi się przynajmniej wydawało - do stodoły wpadł mój brat Stefek. Tym razem wszedł na piętro po drabinie i momentalnie mnie znalazł. Zawołał wszystkich do stodoły, tata kazał mi zejść na dół po drabinie, a kiedy zeszłam dostałam solidne manto, które zapamiętałam do końca życia.

Jak się potem okazało, rodzeństwo się zorientowało, że mnie nigdzie nie ma. Poinformowali rodziców i tak rozpoczął się niezły raban; wszyscy szukali mnie od rana, alarmując przy tym sąsiadów. Mogłam się bawić i chować, owszem, ale niedopuszczalnym zachowaniem było nieodzywanie się i milczenie, nawet wtedy, gdy wiedziałam, że ktoś mnie głośno woła. Od tej pory już nigdy nie bawiłam się w chowanego, nawet jeśli to była grupowa zabawa.

Życie codzienne na wsi, a raczej najzwyczajniej w świecie ciężka praca bardzo szybko dopadła i mnie. Gdy teraz patrzę na beztroskość życia moich wnuków, czas wolny na zabawę, kreatywne tworzenie i ogólnie możliwość pozwolenia sobie na odrobinę lenistwa, trochę zazdroszczę. Nie miałam nigdy takiego wyboru. Musiałam w okamgnieniu nauczyć się wielu rzeczy i wraz z rodzeństwem pomagać w oporządzaniu gospodarstwa. Moim obowiązkiem było wypasanie krów wraz ze Stefkiem, co czyniliśmy po powrocie ze szkoły. Każde z nas miało pod swoją opieką dwie krowy. Takie wypasanie zajmowało nam około czterech godzin:

półtorej godziny na dojście na miejsce i drogę powrotną do domu, pozostałe dwie i pół to był czas dla krowy, by mogła się najeść. Mimo że to była nasza rutynowa „praca”, wspominam ją niezwykle miło. To właśnie był taki czas na relaks, zabawę, jeśli była okazja.

Prowadziliśmy wraz z bratem te nasze krowy i owieczkę (tak, towarzyszyła nam zawsze owieczka Hela) przez drózkę leśną, mijając wielki potok, dopóki nie znaleźliśmy się na obszernych łąkach. Wówczas mogliśmy przywiązać nasze krowy i owieczkę, mając chwilę dla siebie. Nie mogliśmy naszego bydła zostawić na długo, bowiem trzeba było kontrolować, czy krowa dalej znajduje się na swoim miejscu, czy zjadła całą trawę wokół siebie, a jeśli tak, to trzeba było ją przekuć i zmienić jej miejsce. Naszym ulubionym zajęciem podczas wypasu krów było zbieranie do słoików koników polnych na zawody – kto będzie miał ich najwięcej. Czasem chodziliśmy na skraj lasu w poszukiwaniu jeżyn i grzybów. Och, jak ja uwielbiałam (i nadal uwielbiam) chodzić na grzyby! Zawsze, ale to zawsze udawało mi się coś znaleźć: kurki, rydze, kanie, podgrzybki, gołąbki, prawdziwki czy kozaki. Lasy w pobliżu naszego gospodarstwa i ogólnie w pobliżu całej okolicy zawsze pokaźnie nas obdarowywały grzybami. Jak to miała w zwyczaju mawiać moja mama: „Jeśli jesień przynosi duże ilości grzybów, wówczas zima będzie sroga, a śniegi obfite”.

Gdy tak pilnowaliśmy ze Stefkiem tych naszych krów, dużo rozmawialiśmy, żartowaliśmy, wygłupialiśmy się. Co jak co, ale zarówno ze Stefkiem, jak i z Anielą oraz Gosią kontakt miałam naprawdę wspaniały. Nasza więź zawsze była silna, razem potrafiliśmy się wspierać i wzajemnie sobie pomagać, kiedy komuś było smutno i miał ciężki dzień, każdy z nas potrafił rozweselić tę strapioną osobę i dodać jej trochę otuchy. Kiedy któreś z nas zawiniło i wyrządziło jakąś psotę, nieraz bywało, że przyjmowaliśmy część winy na siebie, żeby uchronić tę osobę przed pełnym wymiarem kary. Nasz tata był bardzo surowy, wymagał od nas przestrzegania zasad, uczciwości i szczerości oraz rzetelnej pomocy w gospodarstwie. W sieni naszego domu wisiał pasek taty, a w późniejszym czasie zamiennik – kij bambusowy. Kiedy nasze żarty i psikusy, jakieś niefortunne wypadki i przypadki dawały się we znaki, takim paskiem tudzież kijem dostawaliśmy solidne lanie. Choć zdarzało się to naprawdę bardzo rzadko. Niemniej jednak, miało to kilka razy miejsce, jak przykładowo w sytuacji, kiedy to schowałam się w stodole.

Wracając do wypasania krów, to jest rzecz niesłychana, bowiem razem ze Stefkiem tak oswoiiliśmy nasze krowy, że zawsze w drodze powrotnej do domu jechaliśmy na ich grzbietach.

I owca na sznurku oczywiście szła obok. Gdy później opowiadałam tę historię wnukom, nie mogły w to uwierzyć. Ciągłe mnie pytały: „Babciu, ale jak to? Jechałaś na krowie? Przecież na krowie się nie jeździ, tylko na koniu!”. Wtedy im opowiadałam, że na początku nie było tak prosto i łatwo! Wielokrotnie się zdarza, że na wsi ucieka się przed jakimś goniącym zwierzęciem: a to kogutem, indorem, baranem... czy krową. Tak, krową!

Doskonale pamiętam ten dzień, kiedy to ja uciekałam przed krową. Miało to miejsce zanim zaczęłam je wypaszać, mogłam mieć około 5-6 lat. Był piękny dzień, ja wracałam od sąsiada – mama mnie poprosiła, bym mu zaniósła bańkę ze świeżym mlekiem. W drodze powrotnej do domu mijałam naszą pocziwą krowę, pasącą się na łące. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby krowa nagle nie rzuciła się za mną pędem i nie zaczęła mnie gonić. Zaczęłam wrzeszczeć wniebogłosy i biec ile sił w nogach do domu. Im częściej się oglądałam przez ramię do tyłu, tym bardziej mi się wydawało, że krowa jest coraz bliżej mnie. Biegłam, biegłam, biegłam... i w końcu skręcając w prawo dobiegłam zdyszana do domu, a krowa... wbiegła prosto do stajni. Całą sytuację widziała ciocia Jadwiga i zaczęła się śmiać wniebogłosy. Jak się później okazało, krowa wcale mnie nie goniła, tylko nauczona była samodzielnego powrotu do zagrody.

Właśnie takie momenty zarysowały się ostro i wyraźnie w mojej pamięci, tworząc wokół siebie barierę niezniszczalną. Bo co z tego, jeśli się ma same lekkie, miłe, ale za to niesamowicie monotonne i nudne przeżycia z wiecznie przyklejonym sztucznym uśmiechem? Bez żadnych ekscesów, żadnej nutki strachu i przerażenia, bez łez i smutków, lęków, bez żalu i trwogi? Bez prawdziwego poczucia radości i otwartości na drugiego człowieka? Uważam, że wspomnienia powinny być utrzymane w całym kolorystycznym doświadczeniu. Na tę paletę barw składają się chwile dobre i złe, dziwne i czasem niezrozumiałe, ale za to prawdziwe i szczere aż do bólu. Może to nostalgia sprawia, że czasem idealizuję, otaczam moje wspomnienia sielankową aurą. A może tak właśnie było?

Dzisiaj, kiedy co chwilę wygrzebuje z czeluści przeszłych lat jakieś wspomnienie z dzieciństwa, znów przeżywam je na nowo, coraz inaczej interpretując.

Rower

Do piątego roku życia mieszkaliśmy w starej kamienicy. Mieszkanie składało się z pokoju i tak zwanej „ślepej kuchni”; nie było okna na pole, tylko na korytarz. Nie było łazienki, tylko wspólna ubikacja na korytarzu. Wtedy najczęściej bawiłam się na schodach do ogrodu, nawet pierwsze zdjęcie mam na tych właśnie schodach: siedzę na nich, sześciomiesięczna w sweterku we wzorki, a jedną z nogawek rajtuzelek mam w połowie ciemniejszą. Mama mówiła, że miałam mokro. Kawatek dalej był ogród na skarpie nad torami. Tam bawiłam się z Grażynką, która była o rok ode mnie starsza. Niespecjalnie pamiętam, co to były za zabawy.

Być może swój pierwszy rower miałam już jako trzylatka. Ale że mieszkaliśmy w wąskim mieszkaniu, przy ruchliwej drodze, pewnie nie bardzo miałam gdzie nim jeździć.

Chociaż? Mama zabierała mnie przecież na Planty – były po drugiej stronie ulicy, bardzo lubiałam tam chodzić: można było biegać, były inne dzieci. Może więc i trzykołowy rowerek był wtedy z nami?

Swój pierwszy prawdziwy rower dostałam w wieku pięciu lat. Mieszkaliśmy już wtedy w bloku, w dwupokojowym mieszkaniu z kuchnią i własną łazienką, gdzie była wanna i piec z bojlerem do grzania wody.

Pamiętam, że cały dzień próbowałam na tym rowerze, ale mi jeżdżenie nie wychodziło. Tata lub mama trzymali za długi kij z tyłu rowerka, ale ja wciąż patrzyłam na pedały, a nie przed siebie. Dokładnie sobie przypominam, że na moście na ulicy Tarnowskiej zaskoczyłam na czym polega jazda: nikt nie trzymał kija, a ja, nie patrząc na pedały, jechałam. Sama! Równowaga i prędkość, która ją umożliwia, to jest to, co pozwalało jechać na rowerze!

Drugi rower rodzice kupili mi za pożyczkę z ORS-u (Obsługa Ratalnej Sprzedaży), kosztował tysiąc sześćset złotych. Składak, *Sokół*, piękny, beżowy. Stał za drzwiami w pokoju. Radość z niego trwała ledwie dwa miesiące. Potem został skradziony sprzed domu, gdzie brat zostawił go na siedem minut; tyle czasu potrzebował, aby wziąć sobie coś do jedzenia. Brat uniósł się potem honorem i chociaż nie pracował, oddał tysiąc sześćset złotych, a ja zaraz kupiłam drugi składak, tym razem pomarańczowy. Służył nam w domu bardzo długo, a na koniec trafił do wujka Wieśka, który jeździł na nim do końca życia.

Potem były dwa bordowe rowery, niezbyt wydarzone, niewygodne, ulegające awariom. Ale zawsze służyły: na zakupy, do pracy, dzieci podwieźć.

Aktualny rower mam od 30 czerwca 2008 roku. Biało-niebieski, bardzo wygodny. Przez dwanaście lat zdążyłam wymienić w nim niemal wszystko – prócz ramy i kierownicy. Bardzo go lubię, ponieważ odpowiada mi pozycja, w jakiej się na nim jeździ.

1. Wypadek

Najtragiczniejszym dla mnie wydarzeniem związanym z rowerem jest dzień wypadku, 17 września 2013 roku, rocznica napaści ZSRR na Polskę. Jechałam niedaleko, było wcześniej, a ostatnie, co pamiętam, to jak zbliżam się do skrzyżowania: jestem na drodze z pierwszeństwem, a po obu stronach stoją samochody. Ostatnia myśl przed wypadkiem, to żeby mi przypadkiem któryś z nich nie zajechał drogi, bo sama miałam na liczniku prędkość 20 km/godz., całkiem sporo jak na rower. Trudno opisać stan, w jakim znalazłam się chwilę potem, nie pamiętam zbyt wiele. Mam tylko przebłyski: widzę policjanta, ale tak, jakby to mi się śniło... a policjant rzeczywiście w szpitalu był. Po upadku podobno nie chciałam, aby wzywano pogotowie – lepiej zadzwonić do męża. O dziwo – podałam nawet numer telefonu do niego (tego też sobie nie przypominam). Byłam splątana. Zataczałam się, a z ucha ciekła mi krew. Wzywający pogotowie ratunkowe powiedział, że chyba jestem pijana, bo się chwieję i mówię chaotycznie, ale nie czuć ode mnie alkoholu. A mnie przez ucho wyciekł płyn mózgowy, nie miałam prawa utrzymać równowagi... W szpitalu spędziłam jedenaście dni. Wyliczenie moich obrażeń zajęło sześć linijek w karcie pacjenta. Schudłam siedem kilo, zesłałam, ale przeżyłam.

Nie miałam urazu do roweru.

Zaraz po leczeniu, wypróbowałam nowy-stary rower córki, który kupiła w trakcie mojego pobytu w szpitalu. Biegła obok mnie, żeby mnie asekurować. Do czasu uzupełniania płynu w mózgu zdarzały się problemy z równowagą, przewracałam się. W obojczyku wciąż mam tytanową płytkę i pięć śrub. W czaszce pękło mi siedem kości, mózg stłuczony. To cud, że wszystko się zagoiło.

Sprawca wypadku nigdy się nie przyznał, a rzeczoznawca asekuracyjnie nie stwierdził winy – jak widać, rowerzysta może bez przyczyny upaść na głowę; jeśli świadkowie się nie znajdą, a poszkodowany ma lukę w pamięci – trudno szukać winnych. Dziękuję Panu Bogu za cud przeżycia. Przebaczyłam sprawcy, bo wierzę, że jeśli to zrobił, to niechcący.

Najważniejsze, że mogę jeździć.

2. Licznik

Ważnym akcesorium stał się dla mnie licznik. Fajnie wiedzieć, jak szybko się jedzie, w jakim czasie i ile kilometrów się zrobiło. Zazdrościłam zięciowi, że przejechał w trakcie jednej wycieczki pięćdziesiąt czy siedemdziesiąt kilometrów. A ja – okazało się – tygodniowo robię setkę i więcej! Bardzo poprawiła mi się też orientacja w ocenianiu prędkości czy odległości. Tylko z topografią wciąż nie najlepiej sobie radzę...

Liczników też miałam kilka. Pierwszy został ukradziony z roweru zapiętego pod galerią handlową. Żal, smutek, ale najbardziej dziwiło mnie: po co komu mój licznik – on tylko do mojego roweru pasował. Aktualny jest chyba piątym z kolei. Zliczyłam, tak mniej więcej, że sumując wszystkie przejechane na rowerze kilometry, już dawno okrążyłam kulę ziemską, po równiku. Ponad czterdzieści tysięcy kilometrów.

3. Kradzieże

O pierwszym skradzionym rowerze już wspomniałam. Do dzisiaj mój brat ma pretensję, że wzięłam od niego pieniądze za rower. Cóż, stało się, przyjął. Uważałam, że to nie w porządku, aby rodzice spłacali pożyczkę za rower, którego nie ma, bo brat na niego nie uważał. Gdybym wiedziała, że jego uraza przetrwa tak długo, pewnie bym się pogodziła ze stratą i nie wzięła od niego pieniędzy. Wtedy to pewnie ja nosiłabym w sercu żal, kto wie, ile czasu.

Drugi rower ukradziono nam podobnie: najstarsza córka zostawiła go dosłownie na moment pod sklepem. Kiedy wyszła – już go nie było. Co więcej, on również nie należał do niej, a do młodszej córki. Wezwano policję: przez pół godziny wozili córkę radiowozem po mieście w poszukiwaniu roweru. Bez skutku.

Oczywiście sprawa została po ustawowym czasie umorzona z powodu niewykrycia sprawcy. Zaskoczyła nas reakcja młodszej córki, właścicielki skradzionego pojazdu – wiadomo było, jak bardzo się nim cieszyła, uwielbiała jeździć na swoim góralu. Spodziewaliśmy się reakcji gwałtownej: krzyków, żądań odkupienia i tym podobnych. A ona po prostu usiadła w przedpokoju, na skrzyni z butami i zapłakała łzami tak wielkimi, że kapały z jej policzków i nosa na podłogę. Może znała historię skradzionego w poprzednim pokoleniu roweru i żalu, który zagościł w sercach rodzeństwa?

Ból był wielki – i dla starszej córki, i dla młodszej. Jedyna pociecha, że kosztował zaledwie 150 złotych. Kiedy zaginął, zdaliśmy sobie sprawę, że musiał być kradziony.

Następny rower ukradli najmłodszej córce, ponieważ na życzenie. Długo na niego oszczędzała, wytrwale szukała odpowiedniego modelu, a po zakupie praktycznie „wystawiła” go złodziejowi: trzymała go przez noc na ulicy, co z tego, że zapiętego na solidny stalowy łańcuch. Miała go zaledwie rok, a kosztował 1300.

Przeprosiła się ze swoim starym rowerem, a na kolejny wykosztowała się zaledwie 300 złotych, aby nie kusić złodzieja. Jeździ nim do dziś.

Czwarty stracony w rodzinie rower pierwotnie należał do najstarszej córki. Po kradzieży górala, razem z młodszą kupiły sobie po nowym. Najstarsza wzięła szosowy, z męską ramą, młodszą – górski; przejeździły na nich dobre kilka lat. Potem oba trafiły do mojego męża: pierwszy szosowy, który niezamknięty w miejscu pracy – zaginął. Musiał go ukraść któryś z kolegów, nikt inny nie miał tam wstępu. Wtedy mąż dostał w spadku po młodszej z córek również i drugi rower, górski. Ten podobał mu się zdecydowanie mniej, a okazał się bardzo wygodny i wytrzymały, spisuje się do dzisiaj.

Jak dotąd w naszej rodzinie były cztery kradzieże rowerów. Mam nadzieję, że nie będzie ich więcej.

4. Awarie

Niektóre awarie powoduje złe użytkowanie, zaniedbanie smarowania, nieprawidłowe zmienianie przerzutek, zbyt mocne hamowanie. Usterki mogą być też jednak niezawinione, np. „kapec”. Choć zdarza się też i kapec zawiniony, kiedy, dajmy na to, wjedzie się w rozbite szkło.

W rekordowym tygodniu na przednim kole złapałam pięć kapci. Skończyło się na pełnej wymianie – koła, dętki i opony.

Niektóre problemy techniczne, przydarzały się innym, a ja mogłam pomóc. Tak było, kiedy tuż przy mnie, a może nawet – przeze mnie – wyrócił się starszy pan. Faktem jest, że bardzo ostry zakręt, nie wiedzieć czemu, chciał pokonać lewą stroną ścieżki. Ja jechałam z naprzeciwną, prawidłowo, prawą stroną, a on, chcąc ustąpić mi miejsca, tak ostro skręcił, że „załapał żwirek” (jak mówi się wśród rowerzystów) i upadł na twarz. Polała się krew z nosa. Z roweru spadł łańcuch. Z przypadkową panią pomogłyśmy mu wstać, opatrzyłyśmy nos. Znałam tego pana z widzenia, wiem, gdzie mieszka. Chciałam zadzwonić do rodziny, ale ten – stanowczo odmówił. Widząc, że dochodzi do siebie, postanowiłam puścić go wolno. Aby naprawić rower, założyłam jednorazowe rękawiczki i jednym sprawnym ruchem

założyłam łańcuch, wprawiając i poszkodowanego pana, i przypadkową rowerzystkę w zachwyt moimi zdolnościami mechanicznymi.

Byłam pomocna również w podobnej sprawie, kiedy mama z nastoletnią córką nie potrafiły poradzić sobie z awarią łańcucha. Dziewczyny bardzo podziękowały i szczęśliwie mogły kontynuować wycieczkę, a były daleko od domu. Nauczyłam je przy okazji, że smar na rękach można łatwo usunąć przy pomocy piasku, nawet tego mokrego, z kałuży.

Zastanawiam się czasem, dlaczego Freddie Mercury stworzył piosenkę *Bicycle Race*. Uwielbiam wokalistę Queen i bardzo ubolewam, że już nie tworzy. Wyobrażam sobie, że przecież sam też musiał jeździć na rowerze. Miła jest świadomość, że choć sława, bogactwo, geniusz muzyczny i tenorowy głos nas różnią – łączy nas rower.

Freddie, jak i ja, miał pewnie kilka rowerów, może awarie, może wypadki, może kradzieże, ale też – te same emocje związane z jazdą.

Niech żyje rower.

Czas przeszły niedokonany

Wstęp

Odkąd pamiętam, zawsze bałam się, że ktoś umrze. Najbardziej, że mama. Zawsze była taka delikatna. Kiedy coś się działo, nawet z pozoru banalnego, od razu pąsowiła na twarzy. Do dziś czuję zapach kropel nasercowych, unoszący się w całym domu. To był zwiastun mojego lęku, który, można powiedzieć, wysłałam z jej mlekiem (choć trwało to zaledwie 5 pierwszych miesięcy mojego życia). Powody pąsowienia bywały różne. Ogólnie rzecz biorąc, były to wszelkiego rodzaju niedoskonałości. Na przykład, niedoskonałość porozumienia z tatą (nie, nie kłótnia, mama nie umiała się kłócić), która zazwyczaj skutkowała rozejmem w postaci „dla świętego spokoju zamilknę”. Milczała zawsze mama. Milczała, płakała, zażywała krople. Że tak wiele osób reaguje na awanturę? Nigdy bym tego awanturę nie nazwała. Tato po prostu wyrażał emocje, mama swoje zamykała w jakimś dawno już wypełnionym pudełeczku. Pudełeczko czasem przeciekało. Łzy (prócz pąsowienia twarzy), były jedyną widoczną (choć ukrywaną) oznaką emocji. Ale! Niekiedy był też foch (określenie w tamtych czasach zupełnie nieznane). Okazuje się, że mama, zupełnie tego nieświadoma i w całym swoim tradycjonalizmie, wyprzedzała epokę. Przez ścianę focha można było się przebić słowem „przepraszam” i przytuleniem. Cholernie to było trudne. Do dziś jest. Dykta, którą można było przenieść, wynieść, wyrzucić, zniszczyć, z jej perspektywy była ścianą nośną – całej emocjonalnej piramidy. Mogłam zostać budowniczym tej piramidy i umacniać ją przez pokolenia. Uśmiecham się do siebie w myślach. Nie jestem takim budowniczym. I to jest budujące.

Cztery i czterdzieści

Pierwszy obraz, który czasem przychodzi do mnie we wspomnieniach, to ja, stojąca w rogu dziecięcego łóżeczka i z tej perspektywy spoglądająca na pokój w rodzinnym domu. Pamiętam, bo dzień był szczególny. Moje urodziny. Do pokoju weszła mama i podarowała mi małe zawiniątko z szarego papieru, przewiązane delikatną wstążeczką – koloru nie pamiętam. To pewnie nie był pierwszy prezent, jaki dostałam, ale zdecydowanie pierwszy, który

pamiętam. Rozwinęłam papier i zobaczyłam cztery srebrzyste dzwoneczki z gałązkami – ozdoby choinkowe. Każdy dzwoneczek był innego koloru: różowy, żółty, zielony i po prostu srebrny. Podobno uparłam się, żeby przyjść na świat w wigilię Bożego Narodzenia, choć plany z moim przyjściem były już noworoczne. I tak, cztery lata później, stojąc w łóżeczku, obserwując choinkę i przyglądając się mojemu prezentowi, usłyszałam od mamy: - Ty dziś cztery, a ja jutro czterdzieści.

Koncert życzeń

Mój gust muzyczny przez wiele lat był kształtowany przez telewizyjny koncert życzeń. Do dziś widzę ciemne okulary Kazimierza Kowalskiego, śpiewającego „byłaś mi mamą świata obrazem, niebiańską gwiazdą, promieniem złotym”. Ten pan tak śpiewał, że miałam wilgotne oczy. Do dziś porusza mnie wrażliwość w męskim wydaniu. (Nie mylić z liryczną tkliwością, cechującą nierzadko życiowych nieudaczników pretendujących do miana poetów). Z innej piosenki po raz pierwszy dowiedziałam się, że jest coś takiego, jak „poukładanie sobie życia na nowo”. „Nie było ciebie tyle lat, myślałam, że nie wrócisz już. Poukładałam sobie świat” – śpiewała Krystyna Giżowska. W dzieciaku jednak najwięcej pytań budziło zakończenie, kiedy chłopczyk pyta: „Mamo, kto to był?”, a ona odpowiada: „Nikt, ktoś pomylił drzwi”. Dlaczego ta pani kłamie? Czy dziecko zna tego pana? Co ten pan teraz czuje? Może jeszcze raz zapuka do drzwi? Czy ta pani teraz naprawdę jest szczęśliwa? Z perspektywy kilkudziesięciu lat te pytania wciąż pozostają bez jednoznacznej odpowiedzi. Choć przedstawiona sytuacja już tak nie dziwi.

Zabawy i zabawki

Lalka z czarnego plastiku (Malwina, jak bohaterka jednego z seriali), mały, gumowy niemowlak (bez szczegółów anatomicznych – nad czym bardzo ubolewałam) o imieniu mojego brata (tak, mam brata!), a potem „przechrzczony” na imię niedoszłego chłopaka mojej siostry (jak widać, siostrę też mam), mały niebieski piesek z mikołajkowej paczki, wiszącej na klamce drzwi wejściowych do domu; mała laleczka, której zamykały się oczka, gdy była w pozycji horyzontalnej. Moja zabawkowa „menażeria”. Wszyscy mieli imiona, pamiętam je do dziś. Piesek pozostał ze mną do dziś. Poszarzały, wypłowiwały, z przekrzywioną główką (pranie doprowadziło do dekapitacji, ale umiejętności chirurgiczne mojej mamy dały mu drugie życie) jest jedną z najcenniejszych rzeczy, jakie mam. O wszystkim innym mogę powiedzieć, to tylko rzecz. On jest nieprzeliczalny na żadne pieniądze. Były jeszcze klocki, małe drewniane prostokąty z nadrukowanymi literami. Tym sposobem 4-letnie dziecko nauczyło się czytać.

Sentymenty precz

W pokoju, w którym nocowałam jako dziecko, były dwie wersalki. Na jednej z nich spał tato z bratem, a na drugiej ja z mamą (wyrugowawszy uprzednio tatę z małżeńskiego łóżka). Powiecie: dwie osoby na jedną wersalkę to sporo. Potwierdzam. Szczególnie, że obok mnie, przy ścianie, „spały” jeszcze lalki, miśki i inne zabawki, których żał mi było zostawić w ich zwyczajowym miejscu bytowania. A żeby żadne nie czuło się pominięte, brałam wszystkie i układałam w prostopadłym do siebie rzędku, w pozycji horyzontalnej. Noc rządziła się swoimi prawami. Zaś prawem męskiej części współspaczy było chrapanie. Mama zaś, będąc osobą praktyczną, brała w nocy jedną po drugiej z moich śpiących obok zabawek i celowała w chrapaczy. Skutkowało to zyskaniem przynajmniej kilku minut spokoju. Bywało, że zabawek zaczynało brakować – wtedy w ruch szły pantofle (czy, jak kto woli: kapcie, ciapy, laczki – nie szpilki czy czółenka, broń Boże!). Cały zastęp żołnierzy walczących o spokój (mój i mamy) w czasie snu, rano był zbierany z różnych miejsc pokoju i umieszczany w kącie z zabawkami.

„Misiu poszedł”

Zaledwie jeden program w telewizji, zero wyboru, a dziecku trzeba było ograniczyć oglądanie. I to dobranocki! Miłość i tęsknota, ból rozstania i płacz trudny do utulenia – sponsorem takich uczuć i emocji był „Miś Uszatek”. Podobno – bo o tym opowiadało mi starsze rodzeństwo, kiedy dobranocka się kończyła, zaczynałam straszliwie płakać, zawodzić, że „Misiu poszedł” (a rzewna melodia z piosenki końcowej emocje potęgowała). Nic nie dały tłumaczenia, że poszedł spać, że jutro znowu przyjdzie. Płakałam, zanosilałam się od płaczu. Z czasem już przed zakończeniem dobranocki, rodzina starała się odwrócić moją uwagę (zmiana kanału z przyczyn oczywistych nie wchodziła w grę) i telewizor wyłączali, a mnie zajmowali czymś zupełnie z „Misiem” nie związanym. Nie zawsze zdążali. Trzeba było albo w ogóle nie włączać dobranocki (dziś nie ma, będzie jutro, itd.). Ale prawdziwe rozwiązanie znalazł dopiero tato. Któregoś wieczoru powiedział: „Jak tatuś spotka takiego misia, to ci kupi”. Tato dotrzymywał słowa. I któregoś dnia, wracając z pracy, przyniósł pod pachą czarnego (zupełnie niepodobnego do Uszatka, ale co tam!) misia, a ja, z dziecięcym zachwytem powiedziałam tylko jedno słowo: „Spotkałeś...”.

Głodomór

Ponoć byłam niejadkiem. Poza małymi wyjątkami. Przed którymiś świętami ciocia przywiozła wędliny własnej roboty. Niewiele myśląc, wzięłam pęto kiełbasy i schowałam się pod stołem kuchennym, który miał pod spodem specjalną półkę, a dokoła niej była zastłonka. Kryjówka idealna. Kiedy mnie zdemaskowano, podobno z rozbrajającą prostotą oświadczyłam: „Mieszkam tu i jem kiełbaśkę”. Innym razem wybraliśmy się na ślub i wesele jednej z moich kuzynek. W pewnym momencie ślubnej ceremonii, patrząc na tatę, zakrzyknęłam: „Będziemy jeść!” Co byście pomyśleli, widząc drobne, chude dziecko, które, krzyczy z entuzjazmem, że będzie jeść? Prawda jednak była zupełnie inna. Zawsze, kiedy tato wracał z pracy, jadł obiad, a ja uwielbiałam mu w tym czynnie towarzyszyć, bo przecież najlepiej smakowało z jednego talerza czy patelni. Najważniejsze było samo towarzyszenie. Kiedy więc witałam tatę, gdy wracał z pracy, mówiłam: „będziemy jeść!”. Dlatego też, kiedy na ślubie zobaczyłam go siedzącego w drugiej nawie (dawniej zwyczajowo osobno były męska i damska), automatycznie wykrzyknęłam nasze hasło. Dziś rodzina się z tego śmieje. I bez ówczesnego zażenowania.

Wózek

Jak prawie każda dziewczynka, miałam mały wózek dla lalek, w którym rzeczywiście najczęściej woziłam lalki. Czasem marzyłam, że wskutek jakichś czarów lalka przemieni się w prawdziwe niemowlę i będę mogła się nim opiekować. Ale skoro tak się nie działo, to od czasu do czasu umieszczałam w wózku inne istoty żywe. Były to kurczęta i króliki, bo tylko takie zwierzęta mieliśmy. Na nieszczęście mało przypominały niemowlęta, ale przynajmniej się ruszały. Kurczęta też często nosiłam na rękach i głaskałam. Doskonale jednak wiedziałam, jakie jest ich przeznaczenie. Dlatego też, być może chcąc podświadomie złagodzić paradoks sytuacji, głaszcząc trochę podrośniętego kurczaczka, mówiłam: „Będzie ś ciebie mięsko”.

Kurczęta

Najwięcej opiekuńczości wzbudzały maleńkie kurczątko, tzw. jednodniówki. Rodzice kupowali takie właśnie maleństwa, które na początku trzymaliśmy w domu pod kwoką (specjalną lampą emitującą ciepło) i w najcieplejszym pomieszczeniu w domu, jakim był przedpokój. Dzień,

w którym przywozili do domu „jednodniówki” był dla mnie dniem szczególnym. Nie mogłam się napatrzyć. Zapach zmielonych ziaren wymieszanych z pokrzywą pamiętam do dziś. Inne, mniej przyjemnie zapachy, też. Kiedy któreś z kurcząt udawało się w wędrówkę poza granice tekturowego pudła (zawsze się zastanawiałam, jakim cudem wyskoczyło), niemal od razu głośno o tym informowało, przeraźliwie piszcząc i zdając sobie sprawę, że szeroki świat korytarza jest mocno przereklamowany.

Kołyska

Pamiętam czas, kiedy moim największym marzeniem była kołyska. Chciałam być kołysana i w taki sposób zasypiać. Miałam wtedy wrażenie, że to musi być najcudowniejsza rzecz na świecie. Rodzice nie dali się jednak przekonać, żeby do mojego łóżeczka były dosztukowane bieguny. Po wielu prośbach, w wyniku obustronnego kompromisu, bieguny pojawiły się u łóżeczka, ale tego dla lalek. Nie byłam więc kołysana, ale przynajmniej mogłam kołysać.

Huśtawka

Brak kołyski poskutkowało wygenerowaniem kolejnej potrzeby: huśtawki. Rodzice odebrali to jako dziecinną fanaberię i nikt się tym nie przejął, argumentując brak huśtawki brakiem miejsca na jej sporządzenie. Mnie zaś wydawało się to banalnie proste. Trzepak, sznurek, kawałek deski. Przecież wszystko jest, wystarczy połączyć. Tak też zrobiłam. Wytrzymałość sznurka sprawdziłam własnoręcznie: skoro nie da się go rozerwać, rozciągając z całej siły, to znaczy, że nadaje się na huśtawkę. Przyciąganie ziemskie, a raczej jego skutki, niebawem boleśnie uświadomiły mi, jak bardzo się myliłam.

Przedszkole i szkoła

Mama pracowała w domu, więc rodzice nie wysłali mnie do przedszkola. Wtedy żyłam w przeświadczeniu, że posyłanie dzieci do przedszkola jest niehumanitarne, bo najlepiej, najbezpieczniej i w ogóle naj jest w domu. Kiedy poszłam do klasy „0”, okazało się, że wiedzę nie odstaję od innych, przedszkolnie edukowanych dzieci, za to jestem, jak by to dziś powiedziała młodzież, towarzyskim przegrywem. Pamiętam, kiedy przez pomyłkę

powiedziałam do nauczycielki „mamusiu”, a jedna z dziewczynek (zresztą córka tejże nauczycielki) bardzo się ze mnie śmiała. Pamiętam poczucie wstydu i wyobcowania. To poczucie towarzyszyło mi wielokrotnie w późniejszym życiu. Aż wreszcie odłączyłam mu zasilanie.

Ciuchy

Szczęśliwi pierworodni i mający ciotkę w Ameryce. Ja byłam najmłodszym dzieckiem z rodzeństwem starszym o ponad 10 lat. Sweter po bracie, bo przecież pasuje. Spodnie po siostrze, trochę skrócimy, zobacz jak elegancko. Bielizna po... Nie, na szczęście bieliznę miałam swoją. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że miałam same stare ciuchy. Miałam trochę nowych. Wybierała mi je mama. Stylowo niewiele różniły się od tych po rodzeństwie.

Pochód pierwszomajowy

Lubiłam pochody, bo nie wiedziałam, o co w nich chodzi. A na pochód szłam z tatą. Tata musiał. Ja chciałam. Wtedy czasem brał mnie na barana. Całej reszty nie pamiętam. No prawie. Pamiętam, że kiedy przy wejściu na pochód rozdawali chorągiewki, były do wyboru białoczerwone i czerwone. W szkole mówili, że czerwona, to flaga pracy. Tato zaś mówił: weź białoczerwoną, bo czerwona to ruska. I to jemu wierzyłam. A po pochodzie (chyba na to czekałam najbardziej), szliśmy na lody. Tak żeby mama nie wiedziała, bo według niej każde pożywienie czy napój o temperaturze niższej lub równej temperaturze pokojowej, były po prostu zimne, niezdrowe i anginogenne.

Choroby

Angina, zapalenie oskrzeli, krew z nosa – to dość popularne towarzystwo małego człowieka, który mimo opatulania po oczy i życia w niemal hermetycznych warunkach, łapał sezonowe paskudztwa z ponadprzeciętną częstotliwością. A może właśnie „dzięki” temu. Mały człowiek to zrozumiał, kiedy przestał być mały i zaczął żyć na własny rachunek, i brać sam za swoje zdrowie odpowiedzialność. Zimne przestało być niezdrowe. Niezdrowy przestał być też człowiek. Może nie zawsze tak to działa. W tym przypadku zadziało.

Magnetofon kasetowy

Zawsze intrygowały mnie wszelkiego rodzaju sprzęty AGD i RTV. Z niemal wszystkiego próbowałam zrobić zabawkę. Kiedy mama odkurzała, ja prędko robiłam prowizoryczny latawiec z kawałka nitki i fragmentu kartki, a potem przy „wydechu” zielonej radzieckiej „Czajki” próbowałam utrzymać latawiec w locie. Na nieszczęście właśnie wtedy kończyło się odkurzanie. Kolejnym urządzeniem, które przyciągało uwagę, wbrew zakazom, był magnetofon kasetowy – własność brata. Do tej pory pewnie gdzieś na strychu jest mój pierwszy montaż słowno-muzyczny. Słowa: ja, muzyka: grupa Roxette. Nowa kaseta „Joyride”, na której, zupełnie przypadkiem, zostały zarejestrowane moje pierwsze radiowe próby. Jak się po latach okazało, zdecydowanie nie ostatnie.

Szkoła

Nie lubiłam szkoły, ale nie mogłam tego mówić i myśleć, bo jak to można nie lubić szkoły. Dziecko, przecież dobrze się uczysz, pani cię lubi, o, tutaj piątka, ładne wypracowanie, wzorowe zachowanie, pięknie wyrecytowany wierszyk. Piątki, czerwone paski, ciągły lęk. Czego bałam się najbardziej? Krzyku. Tak mi pozostało. To w pierwszych latach szkoły podstawowej zrodziła się niechęć do matematyki. Przedmiot kojarzy się z nauczycielem. Krzyk. Do tej pory go słyszę. Nieważne, pod jakim adresem był skierowany. Słyszałam go. Truchlałam. Łamane na rękach wskaźniki do mapy, czerwone uszy od wykręcania. Nie moje ręce i nie moje uszy. A jednak bolało.

Zabawy

Choinkowe, andrzejkowe, zawsze były czymś niesamowitym. Wtedy mała dziewczynka stawiała się księżniczką. W taki dzień miała loki – niestety sala gimnastyczna działała jak ekspresowa prostownica. Dłuższą trwałość miał makijaż. Podkradane siostrze niebieskie cienie i różowa szminka – wtedy zestawienie wprost idealne, by poczuć się piękną. Nakładane pośpiesznie w szkolnej toalecie, zauważone przez rodzinę dopiero po powrocie z zabawy. Zmyj to szybko, zniszczy ci się cera. I mydło w oczach. Cena bycia księżniczką przez kilka godzin. Do tych chwil wciąż się uśmiecham.

Dorosłość i niestarość, czyli zakończenie

Z ilu par butów wyrosłam, ile dziur na kolanach wydarłam, ile wykorzystałam dni, a ile zmarnowałam lat... Pewnie nigdy się tego nie dowiem. Dziewczynka, dziewczyna, kobieta. Te stany następowały po sobie tak szybko, że różnice między nimi gdzieś się zatarły. Dlatego czasem czuję się dziewczynką z tą samą wrażliwością, jaką miałam przed laty, jednocześnie będąc dojrzałą kobietą – z duszą dziewczyny. Kiedyś ktoś mi powiedział: „ty nigdy nie będziesz stara”. I wiecie co, na razie się udaje. I pewnie to samo powiem za kolejne kilkadziesiąt lat.

Jestem kroplą wody w rzece życia

Tańczę z pstrągami,
Śpiewam, szumię i ciurkocę,
Rzeźbię otoczaki,
Wpadam w groźne wiry,
Pienię się spadając z jazu,
Obmywam kamienie,
Leniwie wygrzewam się w słońcu,
Zastygam ściśnięta mrozem,
Przenoszę piasek i żwir,
Forsuję zapory,
Przenoszę skały,
Kąpię dzieci w perlistym nurcie,
Czekam.....
na tęczę przymierza, która poniesie mnie na niebieskie obłoki.

POMIDORY

Gdy byłam małym dzieckiem, zdawało mi się, że nie lubię pomidorów. Według mnie znaczyło to tyle, że postanowiłam ich nie próbować, gdyż z pewnością są niesmaczne. Mama sadziła pomidory w ogródku przydomowym, wiele krzewów, które pięknie dojrzewały. Nie było jeszcze wtedy zarazy ziemniaczanej. Przypominam sobie intensywny zapach dorodnych malinówek, które tato jadł z dużą ilością cebuli. No, ale jak postanowiłam, że nie lubię, to nie lubię.

W czasie wakacji ja i młodszy brat, kiedy mieliśmy 6-8 lat, nigdy nie wyjeżdżaliśmy na kolonie, ani nawet do rodziny. Zamiast tego tata zabierał nas do swojej Roboty, czyli pracy. Pracował jako mistrz budowlany w NKB, tzn. Nowosądeckim Przedsiębiorstwie Budowlanym.

W 1967-68 roku był kierownikiem budowy Hotelu Orbis. Trzeba było wstać rano, bardzo wcześnie, ubrać się i iść do Paszyna na tzw. przewóz robotników do Nowego Sącza. W Robocie tato szybko zajmował się swoją pracą. Chodził po całym budynku, rozdzielał zadania, rozdysponowywał pracę, przyjmował materiały. W rezultacie nie miał czasu nami się zajmować.

Staszek, jako zawzięty entuzjasta wszelkich maszyn i aut, mimo choroby lokomocyjnej, jeździł żukiem z panem Kaczanem po mieście i okolicy. Kiedyś przywiózł go z tyłu na pace, ledwo żywego, bo cały czas wymiotował. Ja natomiast plątałam się po pokojach hotelowych, wdrapałam się nawet na dach hotelu, oglądałam duże litery neonu HOTEL ORBIS.

W końcu ojciec zorientował się, że to zbyt niebezpieczne, by dziecko tak się wałęsało po budowie. Kazał mi w biurze, urządzonym w jednym z pokoi hotelowych, układać jakieś dokumenty, pewnie były to tzw. bezety. Miałam je układać według dat. W rogu pokoju ustawiono szafę na skos. Za tą szafą porządkowałam te papiery na podłodze, bo były to wielkie płachty. Byłam głodna, zagubiona i przytłoczona.

W pewnym momencie do biura wszedł wysoki mężczyzna, blondyn w swetrze robionym na drutach. Nie był ubrany jak robotnicy. Zaczął sobie robić kanapki z pomidorami. Ja go dostrzegłam i cofnęłam się za szafę, tak ,że on mnie nie zauważył. Ale ileż można siedzieć za szafą? Niechcący zaszurałam papierami i zostałam zdemaskowana.

- Co tu robisz dziewczynko?

- Tata mnie tu zostawił. Poszedł sobie – odpowiedziałam płaczliwym głosem.

Wyjaśniłam, czyją jestem córką. Zapytał, czy jestem głodna, a kiedy potwierdziłam, poczęstował mnie kanapkami z pomidorami. Nie wiem, czy z głodu, czy z powodu nieśmiałości nie przyznałam się do tego, że pomidorów nie lubię. Zjadłam grzecznie, bo okazały się bardzo smaczne i dobre. Potem poprosił mnie, żebym pomogła mu w jego pracy.

W holu hotelu na podłodze były stosy otoczków granitowych. Zebrali je robotnicy na Dunajcu. Pokazał, jak je segregować. Odkładaliśmy małe, okrągłe, długie, podłużne, większe. Każde na inną kupę. Pokazał mi, że robi z nich dekoracje do pokoi hotelowych, holu i kawiarni.

Komponował z nich jakieś zwierzątka, na przykład owieczki, albo kształty abstrakcyjne. Wszystko z tych kamieni. Okazało się, że to był Władysław Hasior. Rówieśnik mojego taty. Wiele razy tata go wspominał. Polubili się. Los tych jego prac nie jest mi znany.

Długo jeszcze na holu przy recepcji była ściana ułożona z otoczków. Ja nie bywałam w tym hotelu. Teraz nie ma śladu po tych pracach. Zawsze, jak słyszę w radiu o rocznicy urodzin lub śmierci tego sądeczanina, przypominam sobie, że to właśnie on nauczył mnie jeść pomidory.

KS.PROFESOR

Ks. Profesor Piotr Poręba był naszym sąsiadem. Nie takim najbliższym, tylko trochę dalszym, bo mieszkał kilka domów dalej, przy głównej drodze.

Dom Porębów miał magiczny numer 111. Jego brat Karol pełnił funkcję organisty w kościele w Mystkowie. Mówiło się, że idziemy do Organisty, a nie do Poręby. Porębów w Mystkowie było dużo, więc poszczególne rody miały przydomki. Nasza rodzina Poręby-Góraliki, Poręby Banysie, Organisty -Kubioki, Podlesioki, Kumioki, Ciokusie i inne. Mama przyjaźniła się z żoną Karola - Anielą, nazywaną Organiściwą.

Ksiądz przyjeżdżał na wakacje. Był wykładowcą KUL, więc miał wakacje akademickie. Kiedy byłam 7-8-letnią dziewczynką, to pamiętam, jak rano, około 7, szedł z kościoła. Gdy szedł do kościoła, to ja jeszcze spałam, wtedy msze święte odprawiało się o 6 rano. Ubrany był w płaszcz ortalionowy, koloru granatowo-szarego. Ten płaszcz służył mu do końca życia, tylko z roku na rok stawał się coraz bardziej wyblakły. Szedł z kościoła, zatrzymywał się, rozmawiał, nie tylko z dorosłymi, ale także z dziećmi. Znał nasze imiona, nigdy mnie nie mylił z moją siostrą Zośką, co często się zdarzało innym. Bardzo mi imponowało, że pytał, czym się interesuję, co chciałabym robić w życiu, czy się dobrze uczę i czy lubię czytać książki.

W szóstej albo siódmej klasie interesowałam się książkami o tematyce morskiej. Mówiłam, że zostanę nawigatorem morskim. Podśmiewali się ze mnie bracia i rodzice trochę też. W czasie wakacji pochwaliłam się tym pragnieniem z księdzem. Zapamiętał, bo w następne wakacje zapytał, czy dalej tego chcę. Zawsze traktował te rozmowy poważnie, nie ironizował, nie wyśmiewał się.

Bardzo się lubili z bratową Anielą. Mama mówiła, że w czasie wojny, ktoś przyprowadził do Organistów ukrywającą się dziewczynę żydowską. Ksiądz miał przyjaciół w Podegrodziu

(nie wiem, jak się nazywali), z dokumentami pożyczonymi od bratowej, która była czarnowłosa i w podobnym wieku jak ta Żydówka. Przewiózł ją przez Sącz do Podegrodzia. Tam zorganizowano jej dalsze życie i ukrywanie się. Przeżyła wojnę i założyła rodzinę. Nie ujawniła tego, że była żydowskiego pochodzenia. Dopiero po śmierci jej syn się o tym dowiedział. Przyjechał z Zielonej Góry i szukał Porębowej. Aniela Poręba była wtedy w domu opieki w Kamionce Wielkiej. Niestety miała już wtedy demencję. I nic nie pamiętała. Nikt tego nie zapisał i nie zainteresował się tą sprawą. Cała rodzina ogromnie ryzykowała. Ksiądz był w ruchu oporu, prowadził także tajne nauczanie, za co trafił do więzienia.

W czasie nauki w liceum, razem z Marysią Laskosz, sąsiadką księdza, chodziłyśmy do Paszyna na autobus. Droga nazywała się Organistowska i wiodła koło domu księdza. Spotykałyśmy księdza spacerującego boso. Rozmawiał z nami, zwłaszcza jak wracałyśmy ze szkoły.

Kiedyś na tej drodze znalazłam srebrny łańcuszek z medalikiem. Srebrne łańcuszki były wtedy dość cenne. Ucieszyłam się, że go znalazłam, ale chciałam poszukać właściciela. Wtedy spotkałam księdza, powiedział mi, żebym popytała, czy ktoś nie zgubił tego łańcuszka. Ale gdy się nikt nie zgłosi, miałam go spokojnie nosić, bo wtedy jest dla mnie.

Interesował się tym, gdzie się uczymy i jak nam idzie nauka. Ukierunkowywał nasze zainteresowania. Wyłapywał nasze kompleksy i zahamowania, i utwierdzał w przekonaniu, że jesteśmy wartościowe i powinniśmy iść na studia i uczyć się dalej. Mało dzieci z naszej wsi uczyło się w liceum, raczej wybierano zawodówki lub technika. Nauka w liceum nie była zbyt popularna. Nie zapewniała zawodu. Ja też tak się czułam, że właściwie nic nie potrafię. Moja rówieśnica Zosia P. szyła piękne kurtki, udające kurtki z Peweksu, ja ciągle nie miałam żadnych zawodowych umiejętności. Ale ksiądz Profesor mówił, że powinniśmy próbować dostać się na studia.

W wakacje odwiedzali go studenci i przyjaciele. Przyjeżdżali do Paszyna, wdrapywali się na Mystków, po 1981 roku przyjeżdżali autobusem nr 15 i pytali o jego dom u sołtysa, którym był mój tata. Stąd wiem, że dużo ludzi przyjeżdżało do niego. Był lubiany i szanowany. Emanował od niego spokój, dobroć, skromność i umiejętność słuchania. Nasi rodzice radzili się go w różnych sytuacjach życiowych. Tata chciał przebudować kapliczkę domkową, która w czasie budowy drogi uniemożliwiała wyprostowanie jej. Kupił nawet pustaki maksy. Kiedy poradził się księdza, ten łagodnie wyperswadował mu to. „Władziu, niech stoi tam, gdzie stała. To dobre miejsce”.

Aniela Poręba była bezdzietna. Mąż znalazł lekarza z Krakowa ,który powiedział, że trzeba zrobić jej operację i wtedy być może zajdzie w ciążę. Ksiądz odradził jej tego kroku, gdyż stanowił zagrożenie życia i zdrowia, i nie dawał gwarancji na urodzenie dziecka. Karol gniewał się za to na nich obydwójce.

Proboszczem w Bereście był ks. Stanisław Ignas, zielarz i pszczelarz. Przyjaciół ks. Piotra. Jeździliśmy tam z polecenia Organiściny z mamą i tatą, kiedy bolały ich korzonki. Ks. Ignas mówił, że my z Piotrusiem to jesteśmy trochę nielubiani przez biskupów tarnowskich, bo oni są jak św. Innocenty - lubią ino centy, a my nie.

Ignas utrzymywał się z pszczelarstwa i ziołolecznictwa, a profesor najpierw przeniósł się do diecezji warmińsko-mazurskiej, tam była bieda, kościół się organizował po wojnie. Ks. Piotr nigdy nie był zamożny, chodził w starych butach i sutannie oraz wyblakłym płaszczu ortalionowym. Potem pracował na KUL, prowadził Katedrę Pedagogiki Rodziny.

Na emeryturze zamieszkał w Mystkowie, gdzie opiekowała się nim Aniela i brat Karol, siostra Stefania już nie żyła. Aniela była przeszkoloną siostrą PCK. Miała zestaw medyczny do dawania zastrzyków i robiła je po całej okolicy. Każde dziecko miało z nią do czynienia podczas choroby, bały się jej jak ognia. Opowiadała, że kiedyś słyszała jak dzieci wołały: „Matko Boska! Organiścina idzie! Uciekajmy!”. Mnie też dawała zastrzyki, bo byłam chora na reumatyzm dziecięcy. Bardzo piękna i wesoła kobieta, śpiewała anielsko. Ksiądz w ostatnich miesiącach bardzo cierpiał. Aniela była przy nim do końca.

Zmarł 22 lipca 1991 r.

Z inicjatywy Marii Bochenek, nauczycielki, mystkowiejki, 12 listopada 1994 roku nadano Jego imię Szkole Podstawowej w Mystkowie.

GRZYBY

W noc z Niedzieli Wielkanocnej na Poniedziałek chodziliśmy z tatą święcić pola. Oprócz kropienia wodą święconą poszczególnych pól, wbijaniu palmowo-wierzbowych krzyżyków na rogach każdego zagonka, na środku pola umieszczaliśmy większy krzyż leszczynowy. Pola mieliśmy rozrzucone, więc trzeba było przechodzić przez las, wtedy ojciec święcił grzyby. Przemawiał do nich po łacinie: „Amentus, amentus niech grzyby rośniętusz”. I rosły te grzyby

jak szalone, od końca maja do późnej jesieni. Ze świeżych grzybów mama robiła zupę grzybową, zakwaszaną kapuśniarką, czyli sokiem z kapusty kiszzonej. Cudo!

Ale zanim zjedliśmy te grzyby, trzeba było je zebrać. Tata miał powszechną opinię grzybiarza. Grzybiarz to taki człowiek, który, kiedy przejdzie przez las, to już nie ma co po nim zbierać. Pamiętam, jak przychodził z pracy, zwanej robotą, to zawsze przynosił trochę grzybów. Na początku lipca, kiedy dzień zaczynał się o 4 godzinie, budził nas, mnie i siostrę, wcześnie rano. Braliśmy koszyki i szliśmy w las. Zbieraliśmy prawdziwki, kozaki, osicorze i gołąbki. Gołąbki głównie tzw. siwule, czyli te, które miały niebieskie odcienie kapeluszy.

Grzybów było tyle, że czasami zbieraliśmy je na kolanach, bo nie opłacało się wstawać. Tato szukał ich po drodze na przewóz pracowniczy, który odjeżdżał z Paszyna. My z siostrą wracaliśmy z tymi grzybami do domu. Jeśli zbiór był obfity i kosze były pełne, to tata ściągał marynarkę, wiązał rękawy i robił kobiałkę. A jak jeszcze była potrzeba, zdejmował beret i do niego wkładał te grzyby.

Donieść do domu takie ilości, to dla dwóch małych dziewczynek był nie lada wyczyn. Najgorzej było wyjść z Doliny do Potócka. Czasami obydwie wynosiłyśmy najcięższy kosz do góry, zostawiałyśmy go i wracaliśmy po resztę. Gdy już wreszcie dotarliśmy do domu to pół dnia czyściłyśmy je. Najpierw jednak piekliśmy na blasze siwulki. Trzeba było je oczyścić, lekko posolić i położyć na rozgrzanej blasze.

Najlepsze były te z zamkniętymi kapeluszami, podczas pieczenia zbierała się tam woda, którą się wypijało ze smakiem, po czym chrupało gołąbkę. Zgrzytała pod zębami, te smaki, zapachy i doznania są esencją mojego dzieciństwa. Resztę grzybów przygotowywaliśmy do suszenia, a ze świeżych mama gotowała zupę na obiad. Jesienią marynowaliśmy lub kisiliśmy opieńki i rydze.

Tata nie zbierał malutkich grzybów, bo mu było szkoda. Przykrywał je liśćmi, żeby dorosły. Najczęściej nie rosły już, bo jak się je raz zobaczyło, to przestawały rosnąć. To jest tzw. święta prawda grzybiarzy, potwierdzona wieloletnimi obserwacjami.

Pamiętam taką sytuację: szliśmy wzdłuż brzegu lasu, oświetlonego zachodzącym słońcem. Tata wskazał miejsce i powiedział: „Tam są grzyby, dwa kroki od ciebie”. Zaczęłam szukać, ale nie znalazłam. A on schylił się i odsunął gałąź młodego rozłożystego buka. Ukazały się piękne czerwone kozaki, które my nazywaliśmy osicorzami. Było ich dziewięć, na wysokich nóżkach, rosły w grupie. Widok niepowtarzalny. Śnią się mi często, najczęściej wiosną, kiedy

poczuję coś w rodzaju zewu grzybowego. Nie wiem, jak to nazwać, ale fajnie, że mi się to jeszcze śni, czekam na te sny z utęsknieniem każdej kolejnej wiosny.

Cztery pory roku miłości

WIOSNA

Dzisiaj rano niespodzianie zapukała do mych drzwi

Wcześniej niż oczekiwałem przyszły te cieplejsze dni

Zdjąłem z niej zmoknięte palto, posadziłem vis a vis

Zapachniało, zajaśniało wiosna, ach to ty

Wiosna, wiosna, wiosna, ach to ty

Wiosna, wiosna, wiosna, ach to ty...

Pamiętam, kiedy tuliłeś mnie przy tej właśnie piosence Marka Grechuty. Na dworze padał deszcz, krople uderzały mocno o szyby, a ja, wtulona w twoje mocne ramiona, czułam się taka szczęśliwa. Wiedziałam, że zaopiekujesz się mną i naszym dzieckiem. Chociaż rodzice o mało nie wyrzucili mnie z domu z wyrzutami, że nieślubne, że hańba i wstyd na całe miasto, czułam się najszczęśliwszą z kobiet. Bo któż, jak nie ty, był mi w tamtym momencie potrzebny do pełni szczęścia? I twoja reakcja na wiadomość o ciąży – szczerą, nieudawaną radość. Wszystko mogło się walić, byliśmy tylko my i nasz – jak się okazało za dziewięć miesięcy – Antoś. Do dziś pamiętam unoszący się w powietrzu zapach przydrożnej knajpy, smak pierogów z borówkami (zjadłam dwie porcje, już nie oglądałam się na diety, mogłam oficjalnie jeść za dwoje) i deser. Gorąca czekolada z kandyzowanymi wiśniami w niebieskim kolorze, niebieskim jak twoje oczy i oczy Antosia. Odziedziczył je po tobie, podobnie jak charakter. Uparciuch z niego, dlatego wczoraj dobiłam targu z kupcem. Nie pierwszym, przewinęło się ich przez nasz dom wielu, decyzja sprzedaży tego, co przez tyle lat wspólnie budowaliśmy, zajęła mi kilka miesięcy. Na wyprowadzkę mam miesiąc, spakowałam już nasze zdjęcia, listy od ciebie z delegacji, zabiorę jeszcze parę ciuchów, całe mnóstwo butów, bez których wciąż nie mogę się obejść i jestem gotowa. Twój dom jest teraz tu i w moim sercu. Zrozumiałam, że gdziekolwiek nie zamieszkam, ty będziesz tam ze mną. A przy dzieciach i wnukach nie zdziwaczeję. Przynajmniej się jeszcze na coś przydam. Poza zajęciami z Uniwersytetu Trzeciego Wieku (ach, śmiałybyś się ze mnie, że biorę udział w tym – jak zapewne byś to nazwał – eksperymencie dla pomarszczonych nudziarzy) i wizytami tu u ciebie nie mam za bardzo co ze sobą zrobić.

Przy życiu trzymają mnie wspomnienia. Wspomnienia, których dzięki tobie mi nigdy nie zabraknie. Wspaniałe czar tamtych chwil. Chwil, które przez tyle lat nieustannie mi darowałaś. Uśmiechów, radości i uniesień, które dzięki uczuciu, co nas połączyło, przyćmiły troski codziennych chwil. Brak mi ciebie, Marku. I choć minęło już wiele dni i miesięcy, brak mi ciebie z dnia na dzień coraz bardziej. Czas nie leczy ran. Sprawia jedynie, że nie obnosimy się ze swą żałobą jak w trakcie pierwszych dni po stracie bliskiej nam osoby. Ale ból trwa, powiedziałabym, że jest coraz bardziej intensywny i wkrada się do naszego życia, definiując każdą, nawet najmniejszą chwilę. Ciekawe, czy u ciebie też się wypogodziło. U nas razem ze słońcem zieleni się świat, zieleni jak w trakcie naszej pierwszej przeprowadzki. Pamiętasz, ile pracy włożyliśmy w remont zakupionego po okazyjnej cenie dworku? Pamiętasz naszą pierwszą noc w sypialni i wizytę niespodziewanych gości? Na widok lecących, nawet w oddali, nietoperzy mam do dziś gęsią skórę. Zakryłam włosy kołdrą – przecież wkrótce mieliśmy wziąć ślub, nie mogłam pozwolić na ryzyko stracenia mych pięknych jasnych loków, a ty śmiałeś się i drwiłeś, że jestem „bojaca się Kaśka”. Ale zaraz po tym, jak wyprosiłeś dotychczasowych lokatorów na gapę, przeżyliśmy jedną z najwspanialszych i najgorętszych nocy, przynajmniej w moim życiu. Przez uchylone okno czuć było zapach świeżo skoszonej trawy, a my leżeliśmy upici miłością, planując kolory poszczególnych pokoi, planując nasze długie i szczęśliwe wspólne życie. Brak mi cię w ogrodzie, brak mi cię w nieskoszonej trawie, brak mi cię w nieprzyciętych tujach i zepsutych gniazdkach, niepomalowanych ścianach, zdrapanych i nieodświeżonych meblach, które bliźniaki Antosia (ach, żałuj, że nie zdążyłeś ich poznać) zniszczyły, a których nie mogłam wyrzucić, bo tkwi w nich twój duch. Razem z twoim brakiem pojawiło się całe mnóstwo innych braków. Nikt nie potrafi zaspokoić moich potrzeb tak jak ty. Lubiałam być niesamodzielną, uwielbiałam odgrywać rolę słabej kobietki u boku silnego mężczyzny. Pamiętasz, jak odwoziłeś mnie codziennie do pracy, czekając na mnie przed wyjściem z tulipanem – moim ulubionym kwiatem? Rozpieszczałeś mnie bez okazji, sprawiałeś, że czułam się jak królowa. Choć od początków naszego wspólnego życia towarzyszyło nam dziecko, nigdy nie czułam się zaniedbana, zdradzana. Komplementowałaś mnie, zabierałeś na randki, spacerować. Nigdy nie zapomnę zachodów słońca nad jeziorem, gdzie spędziliśmy prawie miesiąc. Musiałeś wyjechać, pilna sytuacja w pracy, ale nawet takie zrzęczenie losu potrafiłeś zamienić na wspólne wakacje. Antoś spokojnie, zresztą jak zawsze, spał w wiklinowym koszu tuż nieopodal, a ty, nie dając znaku zmęczenia po całym ciężkim dniu pracy, gładziłeś moje włosy, szeptałeś do ucha me imię, pieściłeś mnie w swych wielkich ramionach. Uwielbiałam twe ciało, twe duże owłosione dłonie. Koleżanki dokuczały mi, że

sielanka jak nasza kiedyś musi się skończyć. Były w błędzie. Zakończyło ją to, co musiało się zdarzyć. Nieuchronna śmierć. Szkoda tylko, że w tej kolejności. Wolałabym, byś to ty teraz odwiedzał mój zimny grób i wspominał nasze wspólne chwile. Ciekawe, czy z perspektywy czasu postrzegałbyś je tak samo jak ja? Przyniosę jeszcze wodę i będę musiała wracać. Psiakrew! Oblałam sobie płaszczy. Dobrze, że jest pogoda, przynajmniej się nie przeziębę. Pamiętasz, Marku, śmigus dyngus, kiedy jeszcze nawet nie byliśmy parą? Spotykałam się wtedy z Andrzejem, był ode mnie dużo starszy i rzadko miał dla mnie czas. Ty prowadziłeś się z małą Anią. Zawsze zazdrościłam jej filigranowej figury i prostych kruczoczarnych włosów. Moja połówka jak zwykle mnie wystawiła, poszłam na potańcówkę sama. Wy tuliliście się do siebie całą noc, ja wyszłam wcześniej do domu w kiepskim nastroju. Kiedy nazajutrz spotkaliśmy się w tramwaju, byłeś jakiś nieswój. Okazało się, że Anka musiała wyjechać za granicę i to był Wasz pożegnalny wieczór. Wtedy ta wiadomość słabo mnie obeszła. Lubiłam twoje towarzystwo, ale nic ponad to. Widywaliśmy się potem w szerszym gronie, kilka razy nasze spojrzenia spotkały się ukradkiem. Czy już wtedy chciałam czegoś więcej? Czy motyle zaczynały już fruwać w moim brzuchu? Sama nie wiem. Nasza znajomość tak szybko przeobraziła się w coś więcej. Tak szybko zaczęłam pragnąć twych pocałunków i fizycznej bliskości. I tak szybko zaszliśmy w ciążę... Czasami zastanawiam się, co by było, gdyby Anka cię wtedy nie zostawiła. Często myślałam, co by było, gdyby niespodziewanie zmieniła zdanie i wróciła? Nigdy ci o tym nie mówiłam, ale przez pierwsze lata gdzieś w głębi czułam niepewność i trwogę. Trwogę przed wyborem, którego musiałbyś dokonać, gdyby powróciła i zaproponowała ci wspólne życie. Dopiero po latach utwierdziłam się w twojej bezgranicznej miłości i oddaniu dla naszej rodziny, oddaniu, którego żadne wspomnienie młodszej pierwszej miłości nie potrafi zachwiać ani zniszczyć. Po tym wyznaniu nad grobem zostawiam cię z pękiem tulipanów, jeszcze nierozkwitłych. Byś pamiętał, że sercem jestem zawsze przy tobie.

LATO

Dni mijały coraz dłuższe, coraz cieplej było u mnie

Coraz lżejsze miała suknie, lekko płynął wiosny strumień

Wreszcie nocy raz czerwcowej zobaczyłem ją jak śpi

Bez niczego. Zrozumiałem lato, ech że ty

Lato, lato, lato, ech że ty

Lato, lato, lato, ech że ty...

Młodzi odwiedzający twój sąsiedni grób patrzą na mnie ukradkiem, wyśmiewając się z mojego śpiewu pod nosem. Pewnie myślą, że stara baba zgłupiała na starość. Śpiewanie na głos w miejscu publicznym, na domiar samemu sobie. Nie wiedzą, że ja śpiewam dla ciebie, śpiewam naszą ulubioną piosenkę i ogarniam twój dom. Ja nie mam już domu, czekam na chwilę, kiedy wprowadzę się do ciebie. Coraz częściej na nią czekam, czekaj na mnie kochany cierpliwie, wkrótce do ciebie dołączę. Myślisz pewnie, jak to nie mam domu? Mieszkam u naszego syna i jego dzieci. Wielopokoleniowy dom. Tak, ale nie mój. Starych drzew się nie przesadza. Chociaż mam u nich całe piętro, nie czuję się jak u siebie. Nie, nie żałuję decyzji o sprzedaży naszego domu. Nie zostało mi już dużo lat, potrzebuję jeżeli nie stałej opieki, to niedalekiej obecności. W razie gdyby coś się przydarzyło. Więc w razie gdyby, pomieszkuję u Antosia i jego rodziny i starym zwyczajem pozwalam się rozpieszczać. Przypomniałam sobie, jak twoi rodzice musieli u nas pomieszkać. Antoś miał wtedy jakieś dziesięć lat. Nie było mi to w smak. O Boże! Co ja mówię, byłam wściekła, że wejdą z buciorami w nasze niezależne życie. Zaczną się wtrącać, krytykować, reorganizować nasze życie na własną modłę. Twój tato – w porządku. Zawsze go jakoś bardziej lubiłam. Miał szczery wyraz twarzy, czasem uśmiechnięty. Nie to, co twoja mama. Wiecznie zadowolona, nawet jak trafiał ją szlag z jakiegoś bliżej mi nieznanego powodu. Od początku nie przypadłyśmy sobie do gustu. Wiadomość o ciąży zwała ją z nóg. Z dyplomatycznym uśmiechem wyszła do kuchni zaparzyć kawę. Zero gratulacji, zero udawanej nawet radości. Cóż, na szczęście nie należałeś do maminsyneków, nie obeszła cię jej reakcja tak jak mnie. Wywołała wtedy między nami zimną wojnę. Uprzejmość i nic więcej. Kurtuazyjna rozmowa, brak wspólnych tematów, które łączyły babcię Antosia z jej pozostałymi synowymi. Czarny kruk w rodzinie, taka mi przypadła, chcąc nie chcąc, rola. Pojawienie się wnuka wprowadziło między nasze relacje więcej ciepła, ale nigdy nie przeszło mi przez gardło „mamo”. Używałam bezosobowych zwrotów, później było już prościej, zwracałam się do niej – niejako w imieniu jej wnusia (w końcu byłam jego mamą, a on nie umiał jeszcze mówić) „babciu”. Ale do rzeczy. Na prawie dwa miesiące zamieszkali u nas twoi rodzice. Najgorszy okres w moim życiu. Ciekawe, czy podobnie odbiera moją przeprowadzkę Agnieszka? Przynajmniej mówi mi „mamo”. I znów te dywersje. Znasz mnie przecież, zanim powiem, o co mi chodzi, wypowiadam wszystko, co mi wpadnie do głowy.

Uwielbiałeś to moje gadulstwo. Sam byłeś wierny maksymie „mowa jest srebrem, a milczenie złotem” – ja obydwu wolałam nosić na sobie, z przewagą złota, rzecz jasna. No więc twoja mama. Złota kobieta, zasłużona nauczycielka. Czego ona nie uczyła? Języka rosyjskiego, chemii, matematyki a nawet fizyki. Najbardziej zastanawiał mnie zawsze ten rosyjski. Mniejsza z tym. Wszyscy uniżenie się jej kłaniali, ja miałam zaszczyt witać ją w tamtym okresie jako jedna z pierwszych. Pamiętasz te śniadanka i teksty, że o ciebie nie dbam jak należy, że jesteś zabiedzony. Antoś również powinien jadać lepiej, zdrowiej. Nie powiem, bardzo nam wtedy pomogli. Szczególnie że dziwnym trafem zrezygnowała akurat opiekunka Antka. Teraz, jak tak sobie myślę, to zastanawiam się, czy moja teściowa nie maczała w tej decyzji swych wszędobylskich palców. Ostatecznie zajęła się naszym synem, naszym domem, obiadami, śniadaniami. A ja mogłam odetchnąć, lepiej zadbać o siebie i o kontakty ze znajomymi. W sumie przysłużyła mi się wtedy bardzo. Złapałam oddech, każda młoda matka doskonale wie, co mam na myśli. Jednak korzystanie ze swojego domu ostrożnie, by późnymi nocami ich nie obudzić, wieczne upominanie Antka, by nie hałasował, jak drzemali, czy brak możliwości paradowania po domu w samej bieliźnie doskwierały mi z dnia na dzień coraz bardziej. Mimo że odciążali nas z wielu obowiązków, chodziliśmy coraz bardziej sfrustrowani, coraz bardziej zmęczeni. Czas, kiedy się wreszcie wyprowadzili, nie był jednak tylko chwilą mojej nieograniczonej ich kryteriami radości. Antoś płakał, tęsknił, chciał do dziadków. Trzeba było na nowo znaleźć opiekunkę, a mi doszło znów mnóstwo obowiązków kury domowej. I tak źle, i tak niedobrze, powiedziałbyś. Tak, trudno mi dogodzić. W jednym nie zmienię zdania. Młodzi powinni żyć sami, a starzy nie powinni się wtrącać i ingerować w ich decyzje. Może dlatego tak trudno jest mi się zadomowić w ich domu? Może dlatego czuję się tam zbędna i nie na miejscu? Chociaż kocham Agę jak naszą rodzoną córkę i mam z nią doskonałe relacje (przynajmniej tak mi się wydaje), wisi nad nami – a na pewno nade mną – fatum relacji pomiędzy mną a twoją mamą. Może całkiem niesłusznie się obawiam i może niesłusznie oceniam tak swoją teściową? Cóż, to subiektywna opinia, a obiektywna (twoja i Antosia) głosi przecież, iż byłam jej ulubienicą. Ile osób, tyle zdań. I tego się trzymajmy. Wracam wygrzewać swe stare kości na tarasie, trzymaj się mój drogi. Gdziekolwiek jesteś, ściskam cię gorąco jak dzisiejsze letnie słońce.

JESIEŃ

Od gorąca twych promieni zapłonęły liście drzew

Od zieleni do czerwieni krążył lata senny lew

Mała chmurka nad jej czołem, mała łezka słony smak

Pociemniało, poszarzało - jesień jak to tak

Jesień, jesień jak to tak

Jesień, jesień, jesień jak to tak...

Szum liści to jeden z najgorszych dźwięków, jakie zapisałam w swej pamięci. Twój krzyk w ogrodzie. Biegnę, potykam się na gałęziach, których wciąż nie uprzątnęłam z podjazdu. Widzę jak leżysz, nienaturalnie zgięty, bełkoczesz coś bez składu i ładu. Grabiłeś ogród. Ja robiłam marmoladę ze śliwek i prażyłam jabłka. Dom pachniał sadem, przyprawami, sielskością. Widok z kuchennego okna zapierał dech w piersiach. Kolorowe liście, tony kolorowych liści tańczących w porywach lekkiego jesiennego wiatru. Słońce świeciło, grabiłeś w samej koszulce, musiało być naprawdę ciepło, tym bardziej że byłeś zmarzlakiem. Pamiętam twój krzyk i szelest liści kiedy wybiegałam z domu. Pamiętam liście w sieni, wniosłam je biegnąc, żeby zadzwonić po pogotowie. Nie pożegnaliśmy się, nie uścisnęli, nie ucałowali. Odszedłeś bez słowa pożegnania. Nie dałeś mi szansy, bym powiedziała ci, jak strasznie cię kocham. Jadąc z tobą w karetce – ubłagałam pielęgniarzy, by pozwolili mi z tobą być – patrzyłam na twe nieprzytomne ciało. Nie pomyślałam nawet, że to już, że to ta chwila, o której tyle razy rozmawialiśmy. Moją głowę zaprzętały myśli, żeby powiadomić Antosia, powtarzałam jak mantrę listę rzeczy, które powinnam ci przywieźć do szpitala. Antosia zawiadomiłam, lista była zbędna. Odszedłeś w karetce, pozostawiając mnie zupełnie samą, nieprzygotowaną. I nie myślę o stroju – wybiegałam przecież z domu w dresach i sportowej, poplamionej konfiturami koszulce. Mam raczej na myśli stan ducha. Nie byłam gotowa na twoje odejście. Nie byłam gotowa na twój pochówek. Nie wiem co było gorsze, dzień twojej śmierci czy dzień pogrzebu. Pogrzebu i stypy. Zjechało przecież tylu członków rodziny i znajomych z całej Polski, trzeba ich więc godnie przyjąć, ugościć. Agnieszka z Antkiem wszystkim się zajęli. Nie mogli zająć się jedynie mym smutkiem, mym wszechogarniającym smutkiem. Jak mogłam żegnać najbliższą mi osobę, rzucać grudkę ziemi na znikającą w otchłaniach ziemi trumnę, a potem z uśmiechem gaworzyć o pogodzie lub, jakby nigdy nic, wspominać cię ze stryjecznym bratem. Rozmawiać

o tobie, jakbyś wyjechał na delegację, w daleką podróż, z której miałbyś naturalnie powrócić. Ty jednak odszedłeś na wieki wieków amen. Jasne, starałam się być miła, na ile to możliwe, jednak większość pożegnalnej kolacji spędziłam z twoim psem Finem w naszej sypialni. Jedynie on w pełni rozumiał mój smutek i żal, który ogarniał mnie od stóp do głowy. On też czuł się samotny i jego część, podobnie jak moja, została pochowana nieodwracalnie razem z tobą. Odszedłeś, a my jednak nadal żyjemy. Po tylu już latach śmieję się nawet, a Fin traktuje mnie jak kiedyś ciebie. Szum liści przywodzi mi jednak zawsze ten feralny dzień – dzień, w którym straciłam część siebie i rozpoczęłam nowy rozdział – oczekiwania na chwilę, by do tej części powrócić.

ZIMA

Białe wiatry już zawiąły, wiosny, lata wszystkie znaki

Po niej tylko pozostały przymarznięte dwa leżaki

Stoję w oknie, wypatruję nagle dzwonek u mych drzwi

Zima, zima wchodzi szybciej, ogrzej się na parę chwil...

Dzisiaj nie będę u ciebie tak długo jak zwykle. Na dworze siąpi. W sercu też czuję taki dziwny ziąb... Drzewa, podobnie jak moje włosy, pokrył biały puch. Dzieci szaleją, sanie śmigają, śnieżki latają, wokół słychać śmiech młodych ludzi. Pięknie. Ale mi nie do śmiechu. Czuję się taka zmęczona, choć nigdzie poza wizytami u ciebie nie bywam, nic nie robię. Czekam. Czekam cierpliwie, aż się spotkamy. Nie tu, na cmentarzu. Czekam, aż spotkamy się twarzą w twarz. Czekam, aż rozgrzejesz mnie swym objęciem, z którego już cię nigdy nie wypuszczę. Zostaniemy tak na wieczność. Tak, jak mi zawsze powtarzałeś. Ty i ja, zawsze razem, na wieki. Wiesz, niczego nie żałuję. Nie żałuję tylu lat u boku z jednym mężczyzną. Choć znajomi się rozwodzili, a koleżanki zaznawały nowych miłości i sercowych uniesień. Choć nie pamiętam już wielu wydarzeń ze szczegółami, a wspomnienia zacierają się i zachodzą mgłą, jednego jestem pewna. Dałeś mi szczęście ogromne i choć wszystko zapada się w bezdenną czeluść, przed oczami mam twój uśmiech i twe wielkie, dobre, niebieskie oczy. Muszę już wracać. Wkrótce się spotkamy. Wyjdź mi naprzeciw. Do zobaczenia mój kochany.

Jak wypełnić tę kartę?

Stryj Franciszek

W rodzinnej historii stryj Franciszek był najbardziej „obcą osobą”. Zachowała się po nim jedna fotografia w mundurze podhalańczyka i grób na cmentarzu, na którym zapalamy znicze. Z dzieciństwa zapamiętałam, że tato przekazał nam informację o jego śmierci po zwolnieniu z niemieckiego oflagu. Ktoś z bliskich podważał tę informację, twierdząc że był w Niemczech na przymusowych robotach. Siostra pamiętała, że przed zburzeniem starego domu rodzinnego plątała się na strychu manierka z niemieckimi napisami. Kiedy i jak zginęła, nikt nie wiedział.

Pomysł, żeby szukać jakichś tropów, dojrzał, gdy przeszłam na emeryturę, ale jego realizacja okazała się trudniejsza, niż mogłam to sobie wyobrazić. Jak wielu przede mną musiałam z żalem przyznać, że straciłam właściwy czas, gdy niezbędną wiedzę mogłam zdobyć od żyjących. Niestety, od dawna nie ma wśród nas nikogo z rodzeństwa stryja ani ich znajomych, którzy pamiętaliby lata wojny. O tym, że młodzi na ogół nie znają losów swoich starszych krewnych, chyba nie muszę nawet mówić. Za wszelką cenę chciałam tego uniknąć w naszej rodzinie, dlatego, jak wiecie, pracuję nad genealogią naszego rodu.

Prośby o udostępnienie jakichkolwiek informacji o stryju wysłałam w listach do kuzynki w Wołominie i kuzyna w Proszowicach. Władek nic nie wiedział, ale Lusia rozbudziła moje nadzieje. Okazało się, że ma w pamiątkach po mamie fotografię rodzinną wykonaną przed jego wyjazdem na przydzielony punkt zbiórki. Nie wiedziała jednak ani gdzie, ani kiedy miał się stawić. Umówiliśmy się na spotkanie w Muszynie, przy okazji jej listopadowych odwiedzin grobu swojej mamy. Przy okazji potwierdziła, że ciocia Helena też im wspominała o pobycie stryja Franka w obozie.

Kiedy usiadłyśmy nad fotografią, spróbowałyśmy – jak detektywi - rozszyfrować jej elementy. Długo debatowałyśmy na podstawie wyglądu trawy, jaka to pora roku (wiosna, lato czy jesień, skoro nie da się określić jej koloru?), konsensusu nie udało nam się uzyskać także w sprawie wieku Władka. Berbeć na kolanach swojej mamy wyglądał na 3 lub 4 miesiące, więc powinna być wiosna 1940, ale to wydawało się niemożliwe, bo stryj był na tej fotografii, a nie mógł być do wojska powołany po wrześniowej klęsce. Gotowa byłam podnieść wiek dziecka z fotografii

do dwóch lat, ale Lusia mnie wyśmiała. Dwuletnie dzieci wyglądają jednak inaczej, co i ja wiedziałam. Po zgłoszeniu przez nas obie przeróżnych pomysłów, jak to wyjaśnić, przyjęliśmy zgodnie, że stryjenka trzyma cudze dziecko. Nadal to jednak nie tłumaczyło, z którego roku pochodzi fotografia. Tak więc jedyną korzyścią z tego spotkania okazało się nasze odnowienie bliskich kontaktów, w sprawie historii stryja raczej przybyło zagadek. Musiałam szukać gdzie indziej.

Ani kwerenda w miejscowym oddziale Archiwum Państwowego, ani przeczytanie wielu dostępnych artykułów i książek na temat I Pułku Strzelców Podhalańskich nie przyniosły odpowiedzi na nurtujące mnie pytanie: w jakim batalionie i pod czym dowództwem stryj wyruszył na front. Ogromne rozczarowanie przeżyłam podczas zorganizowanej 7 lutego 2019 roku przez Nowosądecki Oddział Polskiego Towarzystwa Historycznego promocji książki Stanisława Korusiewicza *Apel podhalański*. Autor przez dwadzieścia lat zbierał informacje o żołnierzach zmobilizowanych przez 1 Pułk Strzelców Podhalańskich latem i jesienią 1939 roku, byłam więc pewna, że znajdę tu jakieś informacje. O zgrozo, wśród trzech tysięcy czterystu siedmiu biogramów nazwiska stryja nie było.

Muzeum, współorganizator spotkania, zadbało o podniosłą atmosferę, grupa rekonstrukcyjna PTH zaprezentowała stroje żołnierzy i dowódców tego pułku, padło wiele ciepłych słów pod adresem autora, którego publikacja jest pierwszym tego typu opracowaniem w historiografii sądeckiej. Byłam wzruszona, gdy prezes oddziału PTH Leszek Zakrzewski witał nas „na rodzinnym spotkaniu” (sądeczanie byli zawsze dumni ze s w o j e g o wojska w mieście), pożegnana wychodziłam ze spuszczoną głową. Dopiero w domu otworzyłam leksykon i znalazłam w końcowych zdaniach wstępu wyjaśnienie, że z powodu trudności w dostępie do informacji nie są to dane wszystkich. Gdybym była w stanie myśleć logicznie, sama mogłam wyciągnąć ten wniosek – wyekspediowano przecież siedem tysięcy.

Pozostało mi czekać na odpowiedzi różnych instytucji, do których już dawno posłałam prośby o dane. Odpowiedziało Wojskowe Biuro Historyczne, które potwierdziło, że stryj Franciszek odbył służbę zasadniczą w plutonie artylerii piechoty 1 Pułku Strzelców Podhalańskich w okresie od 15 marca 1935 do 19 września 1936 roku. Jako strzelec miał prawo noszenia odznaki pułkowej (Uf, należę do rodziny). Nadal nie wiem, do jakiej armii został wcielony w roku 1939, jak również tego, po jakiej bitwie został wzięty do niewoli. O tym, że był w stalagu, świadczyła nadesłana z Biura Informacji i Poszukiwań PCK w Warszawie karta jeńca

wojennego. Był wtedy w oflagu IIA, 1 sierpnia 1940 roku został pozbawiony statusu jeńca i przeniesiony do grupy robotników przymusowo pracujących w fabrykach, rolnictwie i budownictwie w dyspozycji stalagu XI A. Proponowano mi, by po inne informacje zwrócić się do Międzynarodowej Służby Poszukiwań w Bad Arolsen w Niemczech. Z rady, naturalnie, skorzystałam.

Stamtąd doszła wiadomość, że stryj został skazany za przestępstwo przeciwko gospodarce wojennej (KWVO-Die Kriegswirtschaftsverordnung) na rok i dwa miesiące pobytu w karnym obozie. 15 grudnia 1941 roku przywieziono go do Munster, stąd 16 XII do Neusustrum, 18 XI do Walchüm, 2 stycznia 1942 roku dowieziono go do stalagu nr V na obszarze Emsland. Do każdego dokumentu dołączono listy, niemiecka dokładność okazała się dla nas korzystna. Wyszło mi z rachunków, że stryj nie odbył pełnej kary, ponieważ w lipcu 1942 roku przyjechał do rodzinnego domu, gdzie 27 lipca zmarł na gruźlicę.

Na żołnierskim szlaku (?)

Jest późne pochmurne popołudnie, mój PESEL daje o sobie znać bólem kolan (dobrze, że chociaż biodro już wymieniałam). Dobry dzień na szperanie po materiałach. Mam obsesję na punkcie potrzeby ustalenia szlaku bojowego, na którym będę mogła postawić stryja. Zupełnie nie potrafię zrozumieć, dlaczego nie znalazł się wśród żołnierzy masowo wracających do domów po przegranych bitwach oraz równie masowo zbiegłych z transportów do niewoli.(Patrz: *Apel podhalański*). Był taki odpowiedzialny? Tchórzliwy? Ciekawy świata?

Dostałam z Wojskowego Biura Historycznego wiadomość, że nie znajdę prawdopodobnie listy żołnierzy rezerwowych powołanych na front, gdyż tego typu wykazy niszczone w Wojskowych Komendach Uzupełnień, by nie wpadły w ręce wroga. Informowano mnie także o braku wiedzy, skąd poszczególni jeńcy byli zabierani do stalagów. Jako pewną sugestię proponowano mi śledzenie losów Armii Karpaty.

Ustaliłam, że we wrześniu 1939 roku dwa bataliony marszowe strzelców złożone z rezerwistów zostały skierowane do wzmocnienia 2. Brygady Górskiej, która znalazła się w składzie Armii Karpaty. Pamiętałam, że musiał być w plutonie strzelców.

Uwalniam wodze wyobraźni....

Jest 1 września 1939 roku. Stryj z ogromną grupą żołnierzy zakwaterowanych w parku naprzeciwko sądeckiego gimnazjum pierwszy raz zobaczył niemiecki samolot z czarnymi krzyżami na skrzydłach. Lotnik obniżył lot i strzelał do ludzi, koni i sprzętu 21. Dywizji Piechoty Górskiej, akurat zebranej na boisku sportowym Długosza. Wybuchł potworny popłoch, żołnierze padali, skakali przez mur, biegali w panice. W parku także wszyscy się zerwali na nogi. Nie było na szczęście żadnych ofiar w ludziach, ale w tym dniu niemiecki samolot bombowy zabił na dworcu kolejowym pierwszego sądeczanina. „Więc taka będzie ta wojna” – myślało wielu – „nie oszczędza bezbronnych cywili”. Najbardziej dokuczał wszystkim brak wiedzy o sytuacji na frontach, docierały tylko pokątnie sprzeczne informacje przynoszone przez cywilów i członków dowództwa. Ci ostatni, jak się szybko przekonali zainteresowani, nie znali prawdy o polskich siłach obronnych, wierzyli głoszonej propagandzie. Noc minęła niespokojnie, w zaciemnionym mieście ludzi normalnie dopadał strach i budził koszmary.

Pierwszy rozkaz z 3 września posyłał 2. Brygadę Górską do Limanowej. Po drodze słyszeli kanonadę artylerii ze strony Mszany i Krościenka. Tam już trwały walki. Po całodziennym marszu minęli miasto i zatrzymali się na wzniesieniu, gdzie mieli spędzić noc. Nie dotarła kuchnia, więc głodni położyli się spać na ziemi. Takich dni było przed nimi wiele, ale tego jeszcze nie wiedzieli, więc niektórzy głośno złorzeczyli na czyjeś zaniedbania. Nad ranem pojawiły się łuny pożarów. Rozbudzeni trzęśli się z zimna, mundury były mokre od rosy. Cały dzień zajęło im okopywanie się. Wieczorem okazało się, że grozi im okrążenie od zachodu i południa, więc wycofano ich z powrotem do Nowego Sącza. Dotarli tam po całonocnym marszu i zatrzymali się znowu w parku miejskim.

W pewnym momencie ulicą Długosza przejechały ambulanse ze znakiem czerwonego krzyża. Przywieziono rannych z batalionu Żytyń, który od kilku dni walczył z niemieckimi strzelcami górskimi. Pytali o szpital, wtedy ktoś z parku zajrzał do środka. Leżący byli potwornie okaleczeni, więc wrócił blady jak ściana i nie mógł wydusić słowa. Już po chwili zaczął się ostrzał artyleryjski miasta, płonął dach „Sokoła”, dym spowijał domy i ulice. Zerwano wszystkich stacjonujących, nakazując wymarsz w kierunku Grybowa. Tam spotkali się z żołnierzami z 1. Pułku Korpusu Ochrony Pogranicza „Karpaty”. Ci żołnierze zrobili ogromne wrażenie na przybyłych. Byli doskonale wyszkoleni i zdyscyplinowani, co widać było w wykonywaniu każdej komendy. Ich kuchnia serwowała grochówkę, imponowali też kompletnym umundurowaniem i wyposażeniem wojskowym.

I znów szli piechotą do kolejnego punktu. Za Szymbarkiem znowu spotykali świetnie zamaskowanych żołnierzy z armii „Karpaty”. Ci bili się w okolicach Grybowa, teraz bronili Gorlic. Grupa stryja do Gorlic nie wchodziła, wymaszerowała po południu w kierunku Biecza. Tu Niemcy, którzy wyprzedzili Polaków, przywitali ich ciężkim ostrzałem z karabinów maszynowych. Zablockowali drogę na Jasło i trzeba było się przebijać. Omijając ogień karabinowy, żołnierze weszli w płytkie, na szczęście, wody Ropy i dołączyli do stanowisk swoich strzelców. Zaczęła się prawdziwa bitwa między piechotami wroga i naszą. Pociski i kule leciały z obu stron. Kontratak niemiecki wsparty ogniem artyleryjskim zmusił Polaków do wycofania się. Padali liczni ranni i zabici.

Znów trzeba maszerować przed siebie. Widać, że żołnierze są zmęczeni, rozczarowani poniesioną klęską (im zabrakło wsparcia), nieprzytomni z niewyspania. Dopiero o świcie 8 września docierają do Jasła, gdzie mają odpocząć. W regularnej walce ścierały się tam już inne bataliony KOP, przybyli mieli ich wesprzeć po odpoczynku. Układali się na skraju miasta, gdzie było mnóstwo drzew owocowych i parterowych domków. Pewnie stryj i inni chłopcy ze wsi „wracali” do swoich rodzinnych, wiejskich krajobrazów. Musiało im być smutno i tęsknie.

Spać się jednak nie dało, nękano ich ogniem artylerii i broni maszynowej. Pękające granaty strącały owoce z drzew, zaczęły płonąć domy. Duszący dym rozpełzał się po okolicy. Do akcji poszli strzelcy, potem inne bataliony. Ale i stąd zarządzono odwrót. Schodzą nie ostatni, jakiś oddział jeszcze walczy z Niemcami, osłoni też wycofujących się. Nie ustaje ostrzał artyleryjski, gdy formuje się kolumna marszowa.

Zalesioną drogą dochodzą do przedmieść Krosna, gdzie zastali pododdziały z 1 Pułku Strzelców Podhalańskich. Stryj spotyka kolegów ze służby zawodowej, więc wymieniają szybko wrażenia. Rozchodzą się po chwili do swoich zajęć, bo organizują linię obronną. Przy zabudowaniach rozmieszczone zostają biedki i wozy amunicyjne, ustawione cekaemy, żołnierze się okopują. Atak spodziewany jest rano, więc wszyscy cieszą się na parę godzin snu. Niestety, w środku nocy budzi ich strzelanina, a dowódcy informują o otoczeniu, odcięciu od batalionu i konieczności przebicia się. Zostawiają tabor, zabierają na plecy broń, amunicję i żywność, i ruszają.

Noc jest tak ciemna, że ledwie widzi się sylwetkę przed sobą. Idą za miejscowym przewodnikiem gęsiego. Przechodzą w bród rzekę Wisłok, choć woda miejscami sięga piersi. Przemykając się po drugiej stronie między domami, pozostawiają z tyłu Krosno. Po północy

wspinają się na strome zbocze, skąd widzą w dole łuny w Krośnie. Szeptem przekazywany rozkaz odpoczynku budzi ogromne uczucie szczęścia. Są przecież nieludzko wyczerpani ciągłymi marszami, mają mokre buty, spodnie i bluzy i chce im się spać. Układają się zgodnie ze wskazaniem pod ruinami zamku w Odrzykoniu.

Kiedy 9 września schodzili we mgle i dotkliwym chłódzie na trakt w stronę Dynowa, najpierw z okrzykiem radości witali kolumnę polskiego wojska. Była to 24. Dywizja Piechoty. Walczyli w okolicach Tarnowa, teraz ubezpieczali odwroty różnych armii. Udaje się zmęczonym resztkom batalionu KOP wsiąść na wozy taborowe i jeszcze artyleryjskie. Wychodzi słońce, więc suszy wciąż mokre części ubrań. Późnym popołudniem oficerowie 1. Batalionu KOP „Karpaty” odbudowują oddział, zanim wkraczają do Dynowa. Może tu będzie można trochę odespać?

Okazuje się, że nie. W nocy rusza kolumna marszowa nad San. Naszym oddziałom znowu grozi okrążenie, trzeba przeprowadzić się na drugi brzeg. Niektórzy nie mogą uwierzyć, jakim cudem ci Niemcy ciągle są ze wszystkich stron polskich wojsk? Żołnierze załadowują się na prom i tuż przed przeciwnym brzegiem dostają się w gęsty ogień z broni maszynowej i ręcznej. Z okrzykiem wściekłości kolejni bojownicy rzucają się, strzelając w kierunku, skąd ich atakowano. Nikogo nie zastają. Widać atakowani byli przez patrol wroga, który się szybko wycofał.

Następna noc w marszu wąskimi zalesionymi drózkami w górę i w dół. Część narzeka na biegunki, to następstwo jedzenia owoców popijanych wodą. Dopędzają baterię artylerii i widzą, jak jeden z zaprzęgów stacza się kilkanaście metrów w dół. Konie trzeba było zabić. Poruszyło to pewnie stryja, w dworskiej pracy zajmował się stadem dziedzica i kochał konie. Rano 10. września dotarli do ukraińskiej wsi, w której mieszkańcy okazali im jawną wrogość. Rozlokowali się obok cerkiewki, gdzie trwało nabożeństwo i wsłuchując się we wspaniały chóralny śpiew przeżyli nieliczne w tej wojnie chwile wzruszenia. Było w nim coś podniosłego i melancholijnego. Boże zmiłuj się nad nami – szepotali przy refrenowym *Hospody pomiluj*. To była Jabłonica Ruska.

Można było znowu przeorganizować pododdziały, ponieważ dotarli tu do nich żołnierze i oficerowie 2 batalionu KOP „Karpaty”. Późnym popołudniem ruszyli na wschód. Droga była ciężka, buty wzbijały tumany kurzu wciskające się do nosa i ust. W jakiejś większej wsi ulokowali się po cichu w stodołach i o świcie ruszyli naprzód. Nad rwącym strumieniem, gdzie

na chwilę się zatrzymali, wszyscy wykorzystali okazję, by się umyć, ogolić, a nawet wymoczyć obolałe nogi. W dalszej drodze spotykają liczne oddziały z różnych jednostek. Układają się spać w szczerym polu, Ukraińcy nie chcą ich wpuścić do domów. Śpią niespokojnie, słysząc z daleka grzmoty dział i jazgot broni maszynowej. Niemcy są blisko.

12 września pod Birczą dochodzi do bitwy. Wczesnym rankiem nasze wojsko przygotowuje obronę na stoku, ale tam walka trwa krótko i przenosi się szybko do lasu w dole. Tym razem broń artyleryjską mają obie strony, co trochę poprawia sytuację Polaków. Przewaga Niemców jest jednak ogromna, oddziały KOP wycofują się w kierunku wsi, gdy kończy się amunicja. Płonie wieś, w miejscu stanowiska baterii leżą zmasakrowane trupy artylerzystów, zabite konie, przewrócone działa. Nie ma kompanii podhalańczyków, nie wiadomo, czy się zawieruszyli czy zginęli lub dostali do niewoli. Nikt nie wie, że w wyniku sprzecznych rozkazów, braku łączności i koordynacji, jednostki wsparcia zostały stąd wycofane. Świetny plan zwrotu zaczepnego pod Birczą skończył się odwrotem rozbitków walczących jednostek.

W dalszym marszu coraz częściej mijają na poboczach i w rowach sprzęt wojskowy, skrzynki amunicyjne, a nawet karabiny. Zdarzają się miejsca minionych bitew, w których wciąż leżą trupy żołnierzy. Przybija to idących, chociaż co rusz spotykają oddziały „zgubione” wcześniej. 13 września dochodzą do Przemyśla i nie zatrzymując się, ruszają w stronę Medyki. Zmora stają się teraz niemieckie samoloty albo ostrzeliwujące, albo zrzucające bomby. Czasami są to ulotki wzywające łamaną polszczyzną polskich żołnierzy do poddania się. Znowu spotkanie swoich idących szosą od Przemyśla i któreś już z kolei przetasowania.

Uporczywy marsz na wschód trwał do 16 września, kiedy to dotarli do Lasów Janowskich. Pozostałości po stoczonych tu walkach są polskie i niemieckie; to nie tylko dobytek wojskowy, także gazety a nawet listy. Nareszcie na miękkim mchu i w zapachu sosen znużeni żołnierze zasypiali kamiennym snem. Obudzili się wcześniej, by przygotować się do odparcia natarcia. Początkowe powodzenie Polaków załamało się po ataku Dornierów, które zarzuciły teren bitwy bombami. Wzmógł się również ogień w kierunku artylerii osłaniającej ich natarcie. Wieczorem nasi rozpoczęli odwrót. W ulewnym deszczu z trudem dowlekli się do Rzęsnej Ruskiej. Tu także było wiele jednostek, znaleźli się też podhalańczycy.

Marsz spod Janowa na Lwów z koniecznością przedzierania się przez Lasy Janowskie zdzięsił pododdziały pułku podhalańskiego. Niektórzy spali na furmankach i wozach taborowych, pozostali wlekli po ziemi karabiny, z trudem posuwając nogami. Od wielu dni nie

jedli, nie myli się, nie spali normalnie. Trzymała ich przy życiu nadzieja dotarcia do Lwowa. Nie czekał ich jednak spokojny marsz, lecz kolejny atak i próba przebicia się w walce. Do bitwy doszło 18 września. Po obu stronach drogi i toru kolejowego rozmieszczono sprzęt i 800 żołnierzy. Przy wsparciu dział i działek przeciwpancernych udało się im podejść do pierwszych zabudowań wsi, tu trzeba było przejść na indywidualne starcia z użyciem granatów, bagnetów, a nawet walki wręcz. Ginęło coraz więcej żołnierzy, kończyła się amunicja i nie było szans na wsparcie. Wieczorem ruszyło ze strony niemieckiej natarcie czołgów.

Porażającą okolicznością okazały się jednak zrzucone przez niemieckie samoloty ulotki informujące o wkroczeniu na tereny Rzeczypospolitej wojsk Armii Czerwonej, które są w sojuszu z Niemcami. Nie było już żadnych możliwości na przebicie się: zużyto całą amunicję do dział, działek i karabinów przeciwpancernych, kończyła się amunicja karabinowa. Stan ilościowy strzelców zmniejszył się do stu pięćdziesięciu. 19 września mjr Serafiniuk, ostatni dowódca, poddał Niemcom resztki sądeckiego Pułku Strzelców Podhalańskich. Ta data oznacza kres istnienia tej jednostki. Wziętych do niewoli pod eskortą doprowadzono do obozu jenieckiego w Zimnej Wodzie.

Nie wiem, czy stryj w rzeczywistości przeszedł swój szlak bojowy na odcinku od Nowego Sącza do Rząsnej Ruskiej. Wiem natomiast, że frontowe drogi naszych żołnierzy, kompanii, pułków i dywizji były do siebie bliźniaczo podobne. Setki kilometrów w marszu, często bez snu i posiłków, nieliczne zwycięskie bitwy, po których normą były odwroty, ciągłe przebijanie się przez zgrupowania wrogów. Los polskich żołnierzy Września nie miał w sobie nic z oczekiwanej romantyki, sromotna klęska czyniła go tragicznym. Ruszali na wojnę, wierząc w potęgę państwa i niezawodność sojuszników, wracali rozgoryczeni ceną, jaką przyszło im opłacić druzgocącą przewagą w ludziach i uzbrojeniu wroga. Pozostało na wojennych szlakach wiele grobów, także zbiorowych i bezimiennych. Pamiętajcie, Moi Drodzy, nie wolno nam przechodzić obok nich obojętnie.

W niemieckich stalagach

Neubrandenburg

Nie próbuję odgadnąć, w jaki sposób i kiedy stryj trafił do pierwszego stalagu II A na terenie Niemiec w Neubrandenburgu. Dzisiaj jest to miasto powiatowe w południowo-wschodniej

części Meklemburgii – Pomorza Przedniego. Obóz, najpierw dla polskich jeńców z kampanii wrześniowej, utworzono w granicach miasta we wrześniu 1939 roku. Pierwsza grupa przybyła już 12 września ze wschodnich terenów walk. Zakwaterowano ich w drewnianych barakach, które były garażami niemieckiej Dywizji Pancерnej. Wstawiono do nich prymitywne trzypiętrowe prycze, dla kolejnych transportów robili je przybyli jeńcy. Przez obóz jeniecki, który miał w finale 50 podobozów Arbeitskommando, przewinęło się w latach 1939-1945 tysiące żołnierzy polskich, francuskich, holenderskich, radzieckich. Stryj dostał tu obozowy numer 14 755.

Nietrudno sobie wyobrazić, co czuli zmordowani walką i drogą do stalagu pokonani żołnierze. Byli jeńcami wojennymi, więc zgodnie z Konwencją Genewską przysługiwały im specjalne prawa. Ale zwycięzcy nie zamierzali ich przestrzegać. Niemal od początku zmuszono więźniów do pracy w obozie i poza nim, obozowe warunki były dalekie od tych, które powinni mieć zapewnione. Kiepskie było żywienie, zakwaterowanie i opieka medyczna. Wszystkie te fakty przeraziły przybyłych. Podniosły się krzyki, zgłaszano pretensje do przedstawicieli administracji. Weszli wachmani z przerzuconymi przez plecy automatami i komendant obozu. Ktoś z najdalszego kąta tłumaczy ich szwargot, choć, szczerze mówiąc, tu dolatują tylko niektóre słowa. Nie wolno tego, tego, tego... Złamanie zakazu grozi nawet śmiercią. Większość odczuwa gwałtowny skurcz serca. Dociera do ich świadomości, że definitywnie skończyły się chwile wolności. Przestają być panami swojego losu, będą musieli słuchać zniechędzonych wrogów. Stryj wie to od momentu, gdy znalazł się w obozie przejściowym w Zimnej Wodzie.

Najtragiczniejsza musiała być dla osadzonych zima 1939/40. Pisano o niej, że była wyjątkowo ciężka i mroźna, z powodu braku opału ludzie marzli nawet w murowanych domach. Ci więźniowie mieli tylko drewniane baraki, których nie mogły ogrzać zwykłe „Kozy”. Żeby przetrwać mroźną noc, trzeba było spać w ubraniu, na przydziałowe koce nakładać znalezione papiery, folie i skrawki materiału. Przynosili je ci, których wysyłano do pracy poza obozem.

Ten pierwszy etap niewoli wyjaśnia chyba, dlaczego tak ogromna ilość jeńców dobrowolnie godziła się na status cywilnego robotnika (freiarbeitera). Mieli dostawać jakieś pieniądze, za które w obozowych kasynach można było kupić coś do jedzenia. Przekształcenie statusu jeńca w robotnika w przypadku stryja miało miejsce w dniu 1 sierpnia 1940 roku. Skierowano go do stalagu XI A, odtąd pozostawał w ich dyspozycji.

Stalag Altengrabow

Kiedy znalazłam w księgarni internetowej *Notatnik z Altengrabow* Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, natychmiast go kupiłam. Niezależnie od informacyjnej tylko wiedzy o pobycie poety w tym stalagu (nareszcie jakieś konkrety), pomyślałam o tym, że może to jakaś szansa poznania warunków, w jakich przebywał stryj, jego odczuć i przeżyć.

Poeta wzruszył mnie swoją znaną już wrażliwością na naturę i bogatą wyobraźnią, które powodują, że widzi urok słoneczników w kępie pokrzyw, że zamiast ukraść pomidory, kradnie różę, że w pięknych kamieniach w słońcu widzi roześmiane dzieci, a w zniszczonej karecie symbol upadłej cywilizacji. Potrafi też snuć najgłębsze rozważania filozoficzne i moralne na temat skutków wojny, przywołuje dzieła literackie, muzyczne, teatralne, obmyśla własną sztukę z Orfeuszem w roli głównej. A wszystko to robi po pracy, przy rozbitym kaganku, w jego nikłym świetle. Żonę Natalię nazywa w listach Cesarzową, pamięta o córce, teściowej i przyjaciółach rodziny, poleca ich boskiej opiece.

Ten zapis obozowych przeżyć z okresu od 20 sierpnia do 18 listopada 1941 to dowód erudycji i kultury Gałczyńskiego. Oprócz licznych cytatów łacińskich znajdujemy tu wtrącenia niemieckie i francuskie. Język poety jest magiczny i piękny. Każdy jego gest, każde zdanie dowodzą piękna jego duszy, stara się wszelkimi sposobami ocalić honor i człowieczeństwo. Nie jest to łatwe w świecie, w którym zło czai się na każdym kroku, współtowarzysze myślą tylko o sobie, w dodatku ma się brudną bieliznę i owsiane łuski w pępku.

Gałczyński źle znosił pobyt w obozie, chociaż starał się tego nie okazywać. Męczyła go ogromnie praca fizyczna, często aż do niemożliwości kontynuowania rozmyślań. Fizyczny ból pleców, rąk, nóg, zawroty głowy na pewno są naturalnymi objawami przemęczenia u człowieka, który nigdy nie pracował fizycznie. Był buntownikiem, dlatego gorzej traktowali go strażnicy. Nie zgodził się na rezygnację ze statusu jeńcy, zdarzało mu się narzekać na jedzenie, nie potrafił być uniżony wobec wachmanów i niemieckiej administracji. Podejmował interwencje, które trafiały do komendanta obozu. Wysoko cenił poczucie honoru i nie dopuszczał, by go obrażano. Dostrzegał niesprawiedliwość w nierównym traktowaniu więźniów, np. wyróżnianie Włochów. Towarzystwo niektórych współwięźniów, bywało, też go denerwowało, zwłaszcza przeklinających i prostackich w zachowaniu. Fatalnie znosił ograniczanie wolności osobistej: we wściekłość wprawia go zwrócenie mu przez inspektora uwagi, że nie ma prawa przebywać w innym bloku, ciągły nadzór, złe oczy strażnika. Czasami

wybuchał i pytał siebie: co tu robi bezbrzeżna głupota, chamstwo i ciemnota? Kiedy się to skończy?

Aż trudno mi było uwierzyć, jak głęboka była jego wiara. Uśmierzał dzięki niej zdenerwowanie i niechęć do wrogów, tłumił lęk o bliskich, wyrażał pewność końca cierpienia i tęsknoty. Modlitwę traktował jak przedzieranie się do rzeczy ważniejszych od tego, co go spotyka. Pomagała mu żyć. Bardzo często prosił Boga o przebaczenie, gdy komuś źle życzył, gdy pomyślał o czymś, co jemu wydaje się grzeszne. Interesuje się modlitwami innych narodowości, ciekawsze wkleja do *Notatnika*.

Mam nadzieję, że nie krzywdzę stryja, uważając że jego spojrzenie na naturę było inne, na pewno nie miał też nawet części takiej wiedzy. Znam jego rodzeństwo, wiem trochę o babci Anieli i jej metodach wychowawczych. Pewnie był do nich podobny. Może to trochę ryzykowne założenie?

Jedna rzecz jest pewna; wiara stryja, chociaż nieosadzona w dobrej znajomości biblijnych faktów ani dzieł, była na pewno głęboka i nie podlegała zachwianiu. Tak wierzą ludzie na wsi: przekazywana przez kolejne pokolenia prawda o Bogu Stworzycielu Świata jest przyjmowana jako pewnik. Myślę, że i on zwracał się do Boga w ciężkich chwilach, prosił o miłosierdzie, gdy brakowało mu sił do znoszenia losu. Modlitwę odmawiał też pewnie codziennie w marszu między kolejnymi frontowymi miejscowościami – i odnajdywał w niej moc do znoszenia trudów. Kochał także swoich bliskich i niewątpliwie uwzględniał ich w swoich prośbach kierowanych do Boga. Pisał przecież do domu, bo babcia wiedziała, że jest w jenieckim obozie w Niemczech i w intencji jego uwolnienia brała codziennie udział we mszy świętej. A do kościoła wcale nie było blisko.

Wymieniane przez poetę prace (młócenie grochu, osuszanie zalanych piwnic, żniwa, młocka, wrywanie naci szparagowej, kopanie ziemniaków, itd.) są znane chłopakowi ze wsi z własnej praktyki. Nie oznacza to, że nie męczą także jego. Bóle pleców, rąk, nóg odczuwa każdy, kto pracuje cały dzień, nie może odpocząć ani zwolnić tempa wysiłku. A ci robotnicy musieli zwykle dojść do miejsc przydzielonych prac, co wiązało się z dodatkowym wysiłkiem. Szli przecież bez względu na pogodę - w słońcu i deszczu, jesiennej plusze i mroźnych dniach zimy. Wiem, że nie zawsze były to prace u gospodarzy rolnych, posyłano ich do prac na kolei, w fabryce, przedsiębiorstwach budowlanych.

Rozporządzenie dotyczące kar za działanie przeciwko gospodarce wojennej III Rzeszy bardzo mocno uderzało w jeńców wojennych ze statusem cywilnego robotnika. Kradzież czegoś do jedzenia (chleba, pomidora, ziemniaka), zbyt wolne wykonywanie pracy albo odmowa jej wykonania, głośne krytyczne uwagi o niemieckim państwie lub urzędnikach, nieumyślne nawet uszkodzenie sprzętu mogło być uznane za przestępstwo na mocy wspomnianego rozporządzenia. Donos mógł złożyć rolnik zatrudniający robotnika, obozowy inspektor czy wachman dozorujący wykonanie prac, a nawet współwięzień. Nie musieli przedstawiać dowodów ani świadków, więc mogę domniemywać, że była to groźna broń w rozgrywkach między pracującym i mającym nad nim władzę. Nie mam żadnego dokumentu, który wyjaśnia, jakie „przestępstwo” popełnił stryj. Na liście skazanych przez Sąd Specjalny w Oldenburgu jest wyrok: 1 rok i 2 miesiące odbywania kary, miejsce zesłania-Lager V.

Podróż do obozu karnego trwała od 15 grudnia 1941 do 2 stycznia 1942. 15 grudnia docierają do Munster, stąd 16 – do Neusustrum, 18 – do Walchum. W miejscu przeznaczenia stryj znalazł się 2 stycznia 1942 roku. Musiała to nie być wygodna podróż w osobowych pociągach. Straż kolejowa wiedziała, że wiezie wrogów Rzeszy do obozu karnego, a w dodatku byłych żołnierzy walczących z Niemcami. Jechali prawdopodobnie w towarowych nieogrzewanych wagonach. Niemili byli pewnie dozorujący ich funkcjonariusze Wehrmachtu.

Z bólem myślę o tym, że to okres przed świętami Bożego Narodzenia, które w polskich domach obchodzi się szczególnie uroczyście, więc w tym czasie trwają najgorętsze przygotowania. Stryj na pewno myślał o swoim udziale w przygotowaniu do Wigilii, pasterce, kolędowaniu. Musiało mu krwawić serce. Nadchodziły – choć o tym nie wiedział – ostatnie w jego życiu święta rodzinne. Gdzie je spędził? W pociągu odstawionym na boczny tor czy w którymś obozie? Którym? Czy mieli możliwość przekazania sobie życzeń i zaśpiewania kolęd? Mnożą się znów pytania, na które mogę nie znaleźć odpowiedzi.

Emsland Papenburg

W kompleksie obozów karnych w Dolnej Saksonii, zlokalizowanych na pograniczu Niemiec i Holandii, był lagier V, do którego został skierowany stryj. Wcześniej działał tu obóz koncentracyjny dla opozycjonistów III Rzeszy. Jeńców z różnych frontów walki przywożono od 1940 roku. Administracja całości mieściła się w Emsland Papenburg i stamtąd mam

w dokumentach listę więźniów, nazwisko stryja jest pod numerem 1001. Sporo tych „przestępców” na tych wykazach, wysokość orzeczonych kar jest różna.

Mimo że obozy działały już jako karne, niewiele je różniło od wcześniejszych obozów koncentracyjnych. Ciężka praca, niedożywienie, torturowanie fizyczne i psychiczne więźniów, i prowadzone na nich eksperymenty medyczne powodowały jedną z najwyższych śmiertelność. Stryj mógł być – jak wszyscy jeńcy – zatrudniony przy odwadnianiu mokradeł i bagien, regulacji łąby, w koncernach zbrojeniowych. Mógł także, jeżeli nie miał już sił do wykonywania pracy, zgłosić się na ochotnika „do szczepienia”. Dr Rose Gerhard prowadził w Neuengamme pseudonaukowe doświadczenia nad szczepionkami. Polegały na wszczepianiu więźniowi groźnych wirusów gruźlicy, które zwykle uszkadzały płuca. Zgłaszający się na badania byli dobrze żywieni, pewnie dla wielu wiecznie głodnych więźniów była to pokusa nie do pokonania.

Nie wiem, czy stryj stracił zdrowie w wyniku pracy w ciężkich warunkach czy był „doświadczalnym królikiem” w badaniach Rose Gerharda. Kiedy przyjechał do domu, miał opowiedzieć (tak powtórzył nam tato) o swoim zwolnieniu z obozu z powodu niezdolności do pracy. Badający go lekarz zapytał, czy zna język niemiecki, na co stryj zaprzeczył. Podobno jednak rozumiał ten język i kiedy lekarz powiedział do asystującego „Płuca ma jak sito. Pociągnie już niedługo. Trzeba go zaraz zwolnić, niech umrze w domu”, nie potrafił ukryć radości. Podobno lekarz bardzo się zdziwił jego reakcją.

Stryj zmarł 27 lipca 1942 roku, parę dni po powrocie do rodzinnego domu. Był to, mimo wszystko, chyba szczęśliwy fakt w jego życiu. Umierał wśród swoich, otoczony miłością i ciepłem rodzinnym. Ma swój grób na cmentarzu w rodzinnej wiosce i odwiedzali go tu, póki żyli, znajomi i przyjaciele. W ich pamięci pozostał jako trzydziestolatek z bujną kręconą fryzurą. Teraz my musimy o nim pamiętać.

Do moich bliskich

Kolekcjonowanie danych o przodkach jest moim pozytywnym hobby. Zarażona wirusem poznania genealogii rodziny, szukam faktów, poznaję osoby, rekonstruuje ważne uroczystości rodzinne. Śledzę analogie w życiu pokoleń i wydobywam z mroku skazanych na zapomnienie protoplastów. Chcę wierzyć, że uda mi się stworzyć spisana historię naszych dziejów do trzech pokoleń wstecz.

To, co zrobiłam z próbą wypełnienia dosyć pustej dotąd karty stryja Franciszka, nie należy do właściwych postępowań badacza. Pomyślałam jednak, że korzystając z doświadczeń innych, uda mi się pokazać fakty, w których uczestniczył. Czytający poznają kontekst historyczny jego krótkiego życia i będą mieli okazję stworzyć sobie własny obraz człowieka. Wydaje mi się, że niczego Wam nie narzucam, nie odpowiadam na pytania, na które sama nie znam odpowiedzi. Marzę, że może uda się kogoś z młodych członków rodziny zainspirować do dalszych poszukiwań.

Trzeba zawsze pamiętać, że swoimi dokonaniem zdobywamy miejsce naszej rodziny w życiu całego narodu. Dzięki temu mamy prawo uważać się za Polaków, utożsamiać się z historią, kulturą i dziejami naszej ojczyzny. Każdy pojedynczy członek naszej rodziny coś wnosi do dorobku poprzedników, dlatego nikogo nie wolno zapomnieć i pominąć. Jako najbliższa wspólnota, ród, możemy z tej skarbnicy korzystać nie tylko w swoim pokoleniu.

Wujek Albin

1 listopada, jak każdego roku, biorę do ręki jego oprawione zdjęcie. Patrzy z niego na mnie piękny, przystojny, młody mężczyzna, który jest mi bardzo bliski. Wujek Albin. Od trzydziestu pięciu lat we Wszystkich Świętych i Dzień Zaduszny zapalam przy tym zdjęciu świeczkę. Zdjęć tych, którzy odeszli, przybywa; z tymi zdjęciami przybywa żalu, złości i... wspomnień po nich. A wśród nich ten, którego nigdy osobiście nie poznałam.

Była wojna, rodzina Kurnatowskich mieszkała w Poznaniu. Trzy córki już zamężne były po za domem. Najstarsza Lucia pojechała za mężem do Krakowa, bo tam dostał pracę. Hela i Janka mieszkaly z mężami w Poznaniu, Zbyszek ze swoją ukochaną żoną i małymi córeczkami Lilką i Bogną mieszkali w Lesznie Wielkopolskim. Pozostałe trzy siostry Maryla, moja mama Halina i najmłodsza Krysia mieszkaly z rodzicami i bratem Albinem.

We wspomnieniach mamy Albin był pogodnym kochanym braciszkiem, który potrafił rozbawić nawet najbardziej naburmuszone siostry. Nie było dnia, żeby nie dokazywał. Miał ponad dwa metry wzrostu, a potrafił zwinąć się tak po mistrzowsku i chować w zakamarkach domu, aby w odpowiednim momencie wyskoczyć z kryjówki i nastraszyć mamę lub siostry.

Grał z siostrami w gry karciane, Czarnego Piotrusia, durnia, wojnę, był też motylek czy bałamut, a przy tym oszukiwał niemiłosiernie.

Grali zawsze na słodycze, cukierki albo kruche ciasteczka i oczywiście po wygranej Albin zajadał się nimi na oczach sióstr, którym leciała ślinka. Zawsze jednak w końcu rozdawał słodycze, uwielbiał jednak trochę je podręczyć. Miał dobre serce i siostry go uwielbiały, nie umiały się na niego gniewać. A kiedy próbowały, porywał je do tańca, albo im śpiewał. Ale Albin zajmował się też poważnymi rzeczami, był studentem prawa poznańskiego uniwersytetu, a egzaminy zdawał celująco.

Nawet w czasie wojny w ich domu za przyczyną Albina było wesoło, ale żyło się ciężko i o wszystko, dosłownie o wszystko, było trudno. Ludzie przekazywali sobie pocztą pantoflową informacje o tym, co i gdzie można kupić. I taką drogą trafiła do poznańskiego domu Kurnatowskich informacja, że w Krakowie łatwiej kupić bieliznę.

Mama, a moja babcia, zdecydowała, że Albin pojedzie do Krakowa, zatrzyma się u siostry Gertrudy i zrobi zakupy, zaopatrzy rodzinę w nową bieliznę.

Pojechał i nigdy już nie wrócił. Zabrany w ulicznej łapance trafił do Oświęcimia, gdzie zginął w obozie koncentracyjnym. Rodzina szalała ze zmartwienia, nie wiedzieli, co się stało z Albinem. Moja Babcia pojechała do Krakowa szukać syna. Chodziła po urzędach i komisariatach. Dowiedziała się, że jej syn jest przestępcą i dlatego trafił do obozu pracy. Wróciła do domu zdruzgotana, nie mogła zrobić nic, żeby ratować syna.

A po pół roku przyszła urzędowa informacja z Oświęcimia, że Albin nie żyje, że zmarł na serce. Z tym pismem przyszła paczka, za którą trzeba było zapłacić pięć marek, to miały być rzeczy po zmarłym. W środku była ziemia zmieszana z piaskiem, strzępy łachmanów dwa różne buty i dwie różne rękawiczki. Jedna dziecięca, w tej dla osoby dorosłej była zakrzepła krew.

Wujek Albin. Pamiętam, kiedy byłam małą, mama często o nim opowiadała. Dopóki żyła, to ona zapalała świeczkę przed jego zdjęciem. Zdjęciem ukochanego młodszego brata, z którego odejściem nigdy się nie pogodziła. Opowieści mamy były tak sugestywne, że w końcu, będąc małą dziewczynką, nabrałam przekonania, że znałam go, że brał mnie na ręce i kręcił się w kółko do utraty tchu. Opowiadałam o nim dzieciom na podwórku, a one mi wierzyły. Wierzyły, że miałam cudownego, wyjątkowego wuja.

Obierki

Pamięci moich babć

Ten dzień

19 sierpnia 2007 roku. Niedziela. Piękny słoneczny dzień. W małej sali konferencyjnej podwarszawskiego ośrodka wypoczynkowego kilkanaście osób z zainteresowaniem śledzi podsumowanie trzydniowego szkolenia. Jestem rozkojarzona, nie mogę się skupić, moje myśli zajęte są zupełnie czymś innym. Dochodzi południe, za chwilę wszyscy dostaniemy certyfikaty, potem obiad i wyjazd. Chcę już stąd wyjść. Zadzwoń. Może tym razem odbierze...

Raz po raz zerkam zniecierpliwiona na komórkę. Dźwięk mam wyciszony, ale żeby nawet SMS-a mi nikt nie wysłał? – myślę rozgoryczona. Oczywiście mam na myśli zięcia. Do córki dzwoniłam po śniadaniu, lecz nie odebrała, nie oddzwoniła... więc pewnie coś się dzieje... Od rana mózg wypełniają mi najgorsze przeczucia, nie mogę się skupić na tym, co tu i teraz. Jest! Telefon wibruje, a ja wybiegam z sali, rzucając prowadzącym w locie „przepraszam”. Za drzwiami naciskam słuchawkę.

– Halo – mówię szybko i czekam. Mija ułamek sekundy, zanim usłyszę głos zięcia, ale wystarczy, żeby odpłynęła ze mnie cała krew, słaniam się i opieram o ścianę.

– Co się pani dzieje?! – krzyczy recepcjonistka, która podbiega do mnie i pomaga mi dojść do fotela. Daję jej znak ręką, że wszystko w porządku i słucham...

– Już po wszystkim – mówi wzruszony zięć. – Wszystko dobrze, rano rozpoczęła się akcja porodowa, kiedy przyjechałem, Izia była wieziona na salę operacyjną, jeszcze zdążyliśmy się uściskać – mówi urwanym, ale radosnym głosem. Nasza córeczka jest maleńka, ma niecałe dwa kilogramy, ale jest zdrowa, Obie dziewczyny czują się dobrze...

Po policzku płyną mi łzy... Recepcjonistka podaje mi wodę.

– Dlaczego pani płacze?

– Zostałam babcią – mówię zalana łzami, z zaciśniętym gardłem – a ona jest taka maleńka, urodziła się za wcześnie. Boję się o nią, o ten maleńki cud...

Recepcjonistka ściska mi rękę:

– Będzie dobrze – uśmiecha się. – Gratuluję.

Już wiem, że ten dzień pozostanie na zawsze w mojej pamięci i będzie miał najwyższy stopień ważności.

Dwie Rozalie

Nie każda matka zostaje babcią i nie każdej kobiecie dane jest doczekać tej chwili. Mnie się udało. Nie każdy też ma szczęście, że ma babcię. Ja miałam i obie w jakiś sposób wpłynęły na to, kim jestem. Obie moje babcie nosiły imię Rozalia i obie obchodziły imieniny tego samego dnia. Różniły się między sobą diametralnie: i wyglądem, i osobowością. Tylko fryzury miały identyczne, nosiły gładko zaczesane włosy, zaplecione w warkocz, zawinięte z tyłu w „w ślimaka” i zapięte klamrą. Z tego, co pamiętam z lat sześćdziesiątych, w mojej miejscowości większość kobiet nosiła takie fryzury. Żeby odróżnić obie babcie, nazwę jedną Rózia, a drugą – Rozalia.

Babcia Rózia

Babcia Rózia to mama mojego taty, drobna, niewysoka kobieta o ciepłych, łagodnych niebiesko-szarych oczach. Mieszkała w drugiej połowie naszego domu, wraz z niezamężną córką Bronią. Określenie „naszego” nie jest dobre, to bardziej chyba my mieszkaliśmy u niej. Ten dom wybudował dziadek, jeszcze przed wojną. Sam wypalał cegłę, a potem systemem gospodarczym budował. Dom na wysokich fundamentach z suteryną, gdzie umieścił swój warsztat kołodzieja. Dziadka nigdy nie poznałam, zmarł wcześniej, jak miałam pół roku. Mam jego zdjęcie w mundurze wojskowym i z dnia ślubu. Wysoki, wyprostowany ze śmiałym, odważnym spojrzeniem. Wygląda na człowieka, który wie, czego chce i tak musi być, jak on postanowi. I tak chyba było, bo babcia nigdy mi o nim ciepło nie opowiadała. Mam pamiątkę po nim, zegarek na łańcuszku. Srebrny, pozłacany z przepięknym porcelanowym cyferblatem. Myślę, że nie był łatwym człowiekiem we współżyciu, ale ja i tak go podziwiam, że w tak trudnych czasach wybudował dom i wiem, że bardzo kochał mojego tatę.

A ona, babcia, była spokojna i cicha. Nigdy nie słyszałam, żeby kiedykolwiek krzyczała, kłóciła się z kimś. Kiedy zmarła, miała 68 lat, a ja – 14. To bardzo dziwne, ale zapamiętałam ją jako staruszkę, a przecież jestem w tej chwili zaledwie tylko kilka lat od niej młodsza. Ciekawe, jak mnie postrzegają moje wnuki... Kiedyś Karolka powiedziała mi: „no wiesz, babciu, ty to jesteś taka inna babcia”. Nie wiem, czy to komplement, a może zarzut, na wszelki wypadek nie dopytywałam.

Babcia Rózia była zawsze „pod ręką”. Kiedy mama wychodziła na zakupy albo do pracy w polu, zostawałam razem z nią. Mieszkaliśmy w małym miasteczku, poza centrum i rodzice oprócz pracy zawodowej mieli niewielkie gospodarstwo. Szczególnie pamiętam czasy wczesnego

dzieciństwa, zanim poszłam do szkoły. Obiektywnie rzecz biorąc, babcia wtedy była jeszcze przed sześćdziesiątką i powinna być supersprawną, ale tak nie było. Z zawodu była hafciarką po przedwojennej szkole zawodowej i pamiętam, jak pochylona nad tamborkiem wyczarowywała piękne wzory. Była cierpliwa i bardzo dokładna, jej haft angielski był wykonany na wysokim poziomie. Chorowała na stawy, miała opuchnięte kostki w nogach i często narzekała na ból stawów w rękach. Nie robiłyśmy nic spektakularnego, ale coś niezmiernie ważnego.

Babcia czytała mi bajki. Sama też dużo czytała. Prenumerowała gazetę, pamiętam nawet tytuł „Gospodyni”. A najczęściej czytała dwa rodzaje książek, tak przynajmniej zapamiętałam: żywoty świętych i historie z czasów drugiej wojny światowej – przy tej okazji opowiadała mi o swoim bracie, który zginął w obozie w Oświęcimiu. Opowiadała też o swoim życiu, jak ciężko było jej przeżyć wojnę z małymi dziećmi, jak często do domu zaglądał głód. Jak bardzo musiała oszczędzać i jaki reżim prowadził dziadek, który pilnował, ile słoniny zużyła do obiadu.

W domu nie było wielu książek, babcia chodziła gdzieś wypożyczać. Nie wiem, czy do biblioteki, czy do innego miejsca. Pożyczała też od swoich przyjaciółek sąsiadek, trzech starych panien, które miały pokaźną bibliotekę, potem ja też od nich pożyczałam. W domu zaś miała oprawione i pozszywane u intrologatora opasłe tomy przedwojennego wydania „Przewodnika Katolickiego” i wersję dla dzieci „Mały Przewodnik Katolicki”. Niczego tak nie żałuję, jak tego, że wydania te gdzieś przepadły. Pamiętam ich szarobrązowe oprawy i zniszczone przez ząb czasu żółte kartki. W tych dziecięcych gazetkach były różne zagadki, szarady, rebusy i oczywiście bajki. Czytała mi różne bajki, ale z tego wczesnego dzieciństwa najbardziej zapamiętałam bajkę o Tomciu Paluszku. Zapewne dlatego, że wiąże się z moimi osobistymi marzeniami i pragnieniami.

Byłam jedynaczką. Czułam się bardzo samotna w swoim świecie. Marzyłam o rodzeństwie, ta bajka pozwalała mi wierzyć, że może kiedyś będę miała chociaż tak małego braciszka jak Tomcio Paluch. Bardzo długo byłam karmiona opowieściami, że bocian przynosi dzieci. A jeśli chce się mieć dziecko, trzeba sypać cukier na parapet. Wypatrywałam, kiedy przylecą bociany, a potem sypałam ten cukier... Długo miałam żal do mamy, że nie mam rodzeństwa. Wiedziałam, że tata chciał mieć więcej dzieci, a mama była nieugięta. Nie rozumiałam tego. Dopiero całkiem niedawno, może 10 lat temu, kiedy po raz kolejny wylałam jej swoje żale, że nie miała więcej dzieci, opowiedziała mi historię moich narodzin.

To był początek września 1958 roku. Do moich planowych narodzin było jeszcze dwa tygodnie. Tato wyjechał wcześniej rano do Żywca. Zmieniał miejsce zatrudnienia. Miał w tym dniu podpisać umowę o pracę, w pogotowiu ratunkowym jako kierowca. Kiedy mama zaczęła odczuwać bóle, poprosiła szwagierkę, czyli wspomnianą przeze mnie ciocię Bronię, aby idąc do pracy, wstąpiła po akuszerkę. Kiedy przyszła, babcia miała już przygotowane prześcieradła i różne potrzebne „oprzyrządowanie” do rodzenia w domu. Akuszerka po zbadaniu mamy dość mocno się przeraziła. Poleciała babci, aby natychmiast przyprowadziła jakąś sąsiadkę na świadka, bo sprawa nie jest prosta. Dziecko się nie obróciło, będzie więc poród pośladowy, czasu jest mało, a ona nie jest w stanie już nic zrobić. Jest źle. Dodatkowa osoba miała być dla niej zabezpieczeniem, że ona nie jest niczemu winna... Trauma, jaką wtedy przeżyła mama, odcisnęła się mocno na jej psychice, ale też i moim życiu.

Jak widać, Bóg postanowił dać mi szansę, przyszłam na świat całkiem zdrowa, a moje życie nadal trwa i doczekałam się trójki wnuków. Od tej maminej spowiedzi trochę zmieniłam do niej stosunek i „odpuściłam jej grzech mojego jedynactwa”. Ten poród i zagrożenie mojego życia spowodowały też jej nadopiekuńczość. Nie dosyć, że nie miałam rodzeństwa, to jeszcze mocno ograniczyła mi kontakty z rówieśnikami i wszelkie atrakcyjne zabawy np. chodzenie po drzewach, wspinaczki i inne niebezpieczne pomysły. Tata nad tym ubolewał, że wyrośnie ze mnie „życiowa łamaga” i czasem starał się wprowadzić nieco emocji do mojego stabilnego dzieciństwa. Na przykład zabierał mnie na sanki.

Raz wyszliśmy na bardzo wysoką górę aż pod sam las. Chyba godzinę wspinaliśmy się, a potem była ostra jazda w dół, oczywiście po takim zjeździe w zderzeniu z ostrym powietrzem na drugi dzień wylądowałam w łóżku z wysoką gorączką i anginą ropną. Tata musiał wystłuchać reprimendy od mamy. Pamiętam, że gdzieś udało mu się zdobyć pomarańcze. Smak tych owoców czuję na języku do dziś.

Wróćmy jednak do rówieśników. W opinii mamy w najbliższym sąsiedztwie nikt nie nadawał się na towarzysza moich zabaw. Mogłam czasem bawić się tylko ze Zbyszkim – synem sąsiadów, ale zdecydowanie częściej byłam zdana na siebie i swoją wyobraźnię. Dlatego bajki, które czytała mi babcia, były całym moim światem. Kiedy się nudziłam, przychodziłam do niej i prosiłam: „poczytaj mi”, a ona nigdy nie odmawiała. Choćbym kolejny raz prosiła o tę samą bajkę. To ona zaszczepiła mi miłość do książek i jestem jej bardzo za to wdzięczna. Pamiętam, jak zalewałam się łzami przy baśniach Andersena, a potem wymyślałam inne szczęśliwe

zakończenie dla bohaterów baśni. Nie mówiąc już o tym, że oczywiście chciałam zabrać „dziewczynkę z zapałkami” do naszego domu.

Mama oprócz tego, że była nadopiekuńcza, była też bardzo wymagająca. O demokracji, która dzisiaj panuje w wielu rodzinach, nie mogło być mowy. Rządziła całym domem. Pamiętam, że babcia często ujmowała się za mną, szczególnie jeśli chodziło o jedzenie. „Daj jej spokój, jak nie chce, to niech nie je. Jak będzie głodna, to sama poprosi”. „Gdybym jej nie zmuszała, to dawno umarłaby z głodu” – ripostowała mama, wypychając mi kanapkę, która rosła mi ustach. Toteż bardzo lubiłam zostawać z babcią. Jak nie chciałam jeść, to nie musiałam, nie musiałam też pić wstrętnego mleka. To były czasy... Wystarczyło nie zmuszać dziecka do jedzenia

i już babcia na dobre została zapisana w pamięci, a teraz... oj, trzeba się nagimnastykować. Zapewniać różne atrakcje, walczyć o uwagę, miłość. Nie wystarczy być.

Nie mieszkamy razem, córki osiedliły się blisko Krakowa, więc kiedy moje wnuki przyjeżdżają na kilka dni, staram się zapewnić im różne atrakcje. Wycieczki, nocleg w namiocie, piknik na środku salonu w razie niepogody, szukanie „prezentów”. To takie drobiazgi, w które zaopatruję się dużo wcześniej przed ich przyjazdem i każdego dnia pobytu, żeby osłodzić tęsknotę za rodzicami, organizuję zabawę „ciepło-zimno”. „Prezenty” chowam w różnych częściach domu. Dzieci świetnie się przy tym bawią, nigdy nie wiadomo, co to będzie. Książeczka, maskotka, może modelina? Ta zabawa najbardziej podoba się Mikołajkowi, nawet jeśli znalezionym „prezenterem” okazuje się jajko niespodzianka. Zawsze pozostaje nadzieja, że może jutro...

Chyba przez to, że mama była wymagająca, ja stawałam się buntowniczką. Z mamą nie było dyskusji, więc badanie granic, na ile mogę sobie pozwolić, przypadło niestety między innymi na babcię. Pamiętam takie zdarzenie. To było lato. Rodzice poszli do żniw. Ja oczywiście zostałam z babcią. Pewnie się trochę nudziłyśmy, a może byłam nieznośna? Babcia zaproponowała, że pójdziemy zobaczyć, jak postępują prace polowe. I tu przyszedł mi do głowy jakiś dziwaczny pomysł. Wygrzebałam w rzeczach cioci Broni biustonosz i postanowiłam, że go ubiorę, ale nie tak jak nosi się bieliznę, tylko na zewnątrz, na swoją sukienkę. Babcia robiła, co mogła. Przekonywała, że „to” ubiera się pod spód, ale dopiero jak urosną piersi, że to nie dla mnie, że tak nie można, że będę głupio wyglądała. Na nic nie pomogły żadne argumenty. Założyłam go na swoje ubranie i oświadczyłam, że pójde, ale tylko tak ubrana. Babcia skapitulowała. Szłyśmy, ja paradowałam dumnie wyprostowana dwa kroki przed babcią i po drodze spotykałyśmy różnych sąsiadów wracających z pola.

Obserwowałam ich zdziwione miny, uśmieszki. Nie wiem, nie pamiętam, co mną powodowało, bo doskonale zdawałam sobie sprawę, że tak się nie ubiera i to jest głupie zagranie, ale chciałam postawić „na swoim”. A może to pierwsze przejawy ekscentryczności? Podobno taka jestem, może w niewielkim zakresie, ale coś w tym jest. Oczywiście ledwo dotarliśmy na miejsce, wszyscy, którzy byli przy żniwach, bardzo się ubawili, natomiast mama dopadła mnie, jednym ruchem zerwała biustonosz, okrzyczała, że robię z siebie pośmiewisko i oczywiście, jeszcze dostało się babci, jak mogła się zgodzić na coś takiego. To wszystko działo się w czasach, kiedy nie chodziłam do szkoły.

Potem było już inaczej, miałam swoje zajęcia, obowiązki i wreszcie jakieś towarzystwo. Babcia zeszła trochę na dalszy plan, ale niezupełnie. W tym czasie mieszkająca w sąsiedztwie siostra mojej mamy urodziła dzieci. I teraz ona często prosiła moją babcię o pomoc w opiece nad dziećmi. Też czytała im bajki. Byłam o to potwornie zazdrosna. W dodatku jak trochę podrosły, do mojej babci mówiły „babciu”. To było niewybaczalne. Nie były przecież jej prawdziwymi wnuczkami. Jakim prawem? One kochały ją, a babcia pozwalała na to i odwzajemniała uczucie. Ostatnio z kuzynkami wspominałyśmy tamte czasy i to, jak babcia robiła nam „kinderbale”, wtedy nazywałyśmy to „baliczki”. Kupowała ciasteczka kreolki, katarzynki albo zwyczajne herbatniki i oranżadę w proszku, wyciągała literatki, talerzyki i robiła nam takie małe przyjemności. Jakie to było proste, zwyczajne i piękne!

Babcia Róża zawsze będzie mi się kojarzyła z ciepłem, spokojem, dobrocią i książkami. I kruchością jak skorupka.

Babcia Rozalia

Rodzice mojej mamy mieszkali na wsi. W Juszczyńcu, pomiędzy Makowem a Zawoją. Mieli dość duże gospodarstwo rolne, kilka hektarów pola, las, hodowali krowy, świnie, kury i gęsi. Kaczek nie pamiętam, może ich nie było. I koń do obrabiania gospodarstwa.

Dom był pod lasem, niedaleko stała tylko jeszcze jedna chata. W dole zaś jakieś 300 metrów dalej płynęła rzeka. Idealne miejsce. Cisza, spokój. Uwielbiałam tam jeździć. Przed domem sad i ogromne połacie pola należące do dziadków. I babci ogródek, w którym kwitły astry, mieczyki i malwy. Może były też inne kwiatki, ale ich nie pamiętam. A w polu pomiędzy zbożem maki i bławatki. Jak ja lubiłam ten klimat! Pamiętam olbrzymią lipę, na której roiło się od pszczół, i zabudowania gospodarcze, piwniczki, różne zakamarki, które pobudzały wyobraźnię.

Czego ja tam nie wymyślałam i jak mogłam tworzyć różne historie i zabawy? Ubierałam szpilki mojej cioci i wymyślałam dla siebie różne role. A potem ciotka się denerwowała, że zniszczyłam

jej buty, łażąc po trawie, różnych zaroślach i kocich łbach, którymi było wybrukowane podwórko. Że też sobie nie skręciłam nogi?

Pobyt tam zawsze będzie kojarzył mi się z wolnością. Mogłam wszystko. Chodziłam sama do lasu, oczywiście tylko na skraj, ale jakież to było cudowne, biorąc pod uwagę, że to również działo się we wczesnym dzieciństwie. Zbierałam poziomki i borówki i byłam dumna, że coś sama potrafię i może uda mi się, że w życiu jednak nie będę łamagą. Wtedy nikt nie wiedział, że na borówkach mogą się czaić wirusy i bakterie powodujące ciężkie choroby. Było bezpiecznie i to zaledwie 100 metrów od domu. Mogłam mieć wtedy 5–6 lat. Mama wiedziała, że na pewno nikt specjalnie mnie nie pilnuje i zazwyczaj zjawiała się najpóźniej za dwa dni, na co ja reagowałam ucieczką, mówiąc: „Po co po mnie przyjechałaś?”. A mama przez cały mój pobyt drżała z niepokoju. Tłumaczyła, że boi się o mnie, że gęsi mnie pokąsają. Z tymi gęsiami było trochę prawdy. Ja też się ich bałam. Babcia zamykała je w zagrodzie, ale to sprytnie ptaszyska, potrafiły fruwać i w każdym momencie mogły mnie napaść. Darłam się wniebogłosy, czasem rzeczywiście w ostatniej chwili babci udało się mnie uratować.

Dom dziadków był taki cudowny, zbudowany z poprzecznych pni drzew, uszczelnianych słomą czy mchem – nie wiem, bo te przestrzenie miał zarzucone tynkiem i pomalowane na niebiesko. Wymagał dużej dbałości i pielęgnowania. Drewno było szorowane co najmniej raz w roku a tynk odświeżany wapnem z dodatkiem niebieskiego barwnika. Dzisiaj takie domy można spotkać w skansenie. Środek też był magiczny i zupełnie inny niż dom, w którym mieszkałam. Ściany drewniane lub częściowo bielone, na suficie ozdobne belki. Chłonełam ten dom jak kolejną bajkę.

Pamiętam jeszcze czasy, kiedy nie było tam prądu, na drewnianym prostym stole migiała lampka naftowa, dając nikłe światło, które w magiczny sposób rozpraszano się po ścianach, tworząc cienie. Bawiłam się, podkręcając knot, a przez to cienie zmieniały swoje kształty. Bajka. Wszystkim nafta śmierdziała, tylko nie mnie. Marzyli, żeby wreszcie mieli podłączony prąd i odrobinę należytą cywilizacji. Prąd dotarł tam początkiem 1964 roku, kiedy miałam 6 lat. Tego też roku, jesienią zmarł dziadek. Pamiętam go wyraźnie, miał ostry czarny zarost i wąsy. Łapał mnie i mocno przyciskał, a ja po tych pieszczotach miałam czerwony ślad na twarzy. Był dobrym człowiekiem. Dzisiaj dostałby dyplom od ekologów, bo jego stosunek do zwierząt był dość nietypowy jak na owe czasy. Na przykład po całym tygodniu pracy, w niedzielę nie zaprzęgał konia do bryczki, żeby pojechać do kościoła, twierdził: „niech sobie koń odpocznie, on się dość napracował, a my możemy się przejść”. I szliśmy kilka kilometrów w jedną stronę. To właśnie dziadek Władziu wybrał mi imię. Kiedyś go nie cierpiałam

(oczywiście imienia, nie dziadka). Uważałam, że jest najbrzydziwsze pod słońcem. A to dlatego, że niektórzy, szczególnie w szkole, mówili do mnie „Jadźka”. Dla większości byłam Jadzia dla mamy – Jagusia. Ale najpiękniej moje imię zdrabniała babcia Rozalia: Jagódka. Nikt nigdy oprócz niej mnie tak nie nazywał. A teraz jestem pani Jadwiga i bardzo to lubię.

Babcia Rozalia była postawną, dobrze zbudowaną kobietą, silną, pracowitą, twardą jak orzech. Taka prawdziwa wiejska gospodyni, która robi masło, ser, piecze chleb, a po jajka chodzi do kurnika. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek siedziała. Robota paliła się jej w rękach. Cały tydzień pracowała ciężko, ale niedziela była poświęcona dla Boga i na odpoczynek. W niedzielę babcia stroiła się do kościoła w najlepsze ubranie, materiał, z którego miała uszyty strój, miał być wysokiego gatunku, a buty – skórzane zrobione na zamówienie. Do tego zakładała trzy sznury prawdziwych koralików. Jeden z nich dostała mama i przekazała mi na pamiątkę po babci. Zakładałam je czasem. Bardzo lubię nosić koraliki i mam ich mnóstwo, różnego rodzaju. Może mam to po babci Rozalii?

W domu było bardzo schludnie i czysto. Pamiętam, z jaką energią babcia, na kolanach ryżową szczotką, szorowała drewniane podłogi, które po umyciu stawały się prawie białe. Trzeba było tylko uważać, bo zdarzały się zadziory w deskach i można było sobie skaleczyć nogę. Pamiętam pokój, który nazywali izbą – z dwoma łózkami przykrytymi kapami, na których piętrzyły się śnieżnobiałe, wykrochmalone, wyhaftowane poduszki. I jak były odprasowane? „Na blachę” i to wszystko żelazkiem z duszą. To żelazko też mi się bardzo podobało, zasypane gorącym węglem kopciło niemiłosiernie, a żeby się rozgrzało, trzeba było nim trochę pobujać. Dym szczypał oczy, w otworach żarzyły się węgle. Magia. Tak nierealny świat wtedy dla mnie był miejscem zaczarowanym. Pamiętam też galerię obrazów świętych umieszczoną pod sufitem i pelargonie w oknach. Może dlatego lubię odwiedzać skanseny i kiedy trafiam na taką chatę, otwierają się wrota do wspomnień z dzieciństwa.

Wyjazd do dziadków, chociaż mieszkali kilka kilometrów od Makowa, to też była wyprawa. Samochodu nie mieliśmy, zresztą kto wtedy miał auto? Mieszkaliśmy przy samej ulicy, dziś to jest główna droga przelotowa, przez którą ciężko jest przejść na drugą stronę. Wtedy jechały pewnie dwa auta na godzinę i furmanki, no i może czasem jakiś motor. Tata też miał motor, ale krótko. Żeby dostać się do dziadków, trzeba było najpierw udać się na dworzec, a później – śmierdzącym ropą i ludzkim potem – autobusem typu ogórek (autobusy były przepełnione, przeładowane, ludzie tłoczyli się w nich jak śledzie) w mało dogodnej pozycji jechać blisko godzinę. Pojazd zatrzymywał się na każdym przystanku, a żeby wyjść, niekiedy pół autobusu musiało się opróżnić. Czasem jechałam z mamą, ale zdarzało się, że wpadała do nas któraś

siostra mamy i zabierała mnie ze sobą. Ciotki często nas odwiedzały, nawet zostawały na noc. Ciotka Janina, która potem wyszła za mąż za naszego sąsiadę, wpadała dosyć często, pewnie miała potajemne randki. To ta, która urodziła kuzynki, co odbierały mi moją babcię Rózię. Kiedyś uparłam się, że pojedę z nią do dziadków. Jak już cudem znalazłyśmy się w autobusie, bo zdarzało się, że autobus nie zabierał wszystkich i czasem trzeba było czekać na następny, nagle pomyślałam, co by się stało, gdybym nagle zaczęła ryczeć, że chcę wrócić do domu. Pamiętam dobrze, że wcale nie chciałam wracać do domu, tylko sprawdzić, czy autobus się zatrzyma. Takie kolejne doświadczenie buntowniczkę, jak z biustonoszem. Włączyłam „syrenę” na cały regulator „Ja chcę do mamy!!!” – darłam się wniebogłosy i zmusiłam się do płaczu, chociaż wcale nie chciało mi się płakać. Ciotka najpierw próbowała mnie uspokoić, że „przecież sama chciałam”, ale ja się uparłam i jak mantrę powtarzałam na cały autobus „Ja chcę do mamy!!!”. Zdezorientowana, zwróciła się do kierowcy: „Panie kierowco, proszę się zatrzymać”. O dziwo, mężczyzna zatrzymał się, nie dowożąc nas na kolejny przystanek, skąd byłby dłuższy powrót. Wysiadać mi się nie chciało, ale musiałam. Kiedy pojawiłyśmy się w domu, ciotka – średnio zadowolona z naszej przygody – chciała złapać kolejny autobus, ja znowu zaczęłam jęczeć, że chcę z nią jechać. Ale niestety na to już nikt nie dał się nabrać i zostałam w domu.

W pamięci mam jeszcze taki obraz z odwiedzin dziadków. Bywali u nas czasem, ale często zdarzało się, że zatrzymywali się też przy okazji, wracając z suskiego jarmarku. Pamiętam, jak mama mi wtedy mówiła: „Czekaj przed domem w ogródku, dziadkowie na pewno zaraz tu będą”. Stałam, czekałam i wypatrywałam furmanki. Powitania były bardzo serdeczne. Wyciągali szeroko ręce, ściskali mnie. „Nasza Jagódka!” – wołała babcia, a potem były czułości z dziadkiem, po których na moim policzku pozostawał ślad po zadrapaniu ostrym zarostem. Teraz kiedy przyjeżdżają wnuki, a raczej, przyjeżdżały przed pandemią, mój mąż ściskał dzieciaki i obcałowywał, zwracałam mu uwagę: „Nie męcz ich, podrapiesz policzki”. Może niepotrzebnie to mówię, bo może to jest to, co zostanie zapisane w ich pamięci?

A wracając do moich wspomnień, zawsze ta wizyta kończyła się tak samo. Babcia z sakiewki, właśnie z sakiewki, a nie z portmonetki (wydaje mi się, że po sakiewkę sięgała do biustonosza), wyjmowała jakiegoś pieniążka. Najczęściej była to dziesięciozłotówka. Zdarzało się też, pewnie jak coś się udało im dobrze sprzedać, że dostawałam dwudziestozłotowy banknot (pamiętam, że duża tabliczka czekolady kosztowała 19,50, a bochenek chleba chyba 3,50). W tamtych czasach, tak jak dla mnie, kilkuletniej dziewczynki, to był spory zastrzyk gotówki, a tabliczka

czekolady była luksusem, na który nie zawsze mogłam sobie pozwolić. Nie znałam się na nominałach, ale wiedziałam, że pieniądź papierowy ma przewagę nad metalowym.

Gdziekolwiek jestem, kiedy zasypiam i słyszę w oddali szczekanie psa, otula mnie błogi spokój. A myśli wędrują do domu dziadków. Jak w każdym wiejskim gospodarstwie, dziadkowie też mieli psa. Burek był psem łańcuchowym. Był zadbany, dobrze karmiony, często spuszczano z łańcucha, ale w nocy musiał być przywiązany i bronić domostwa. Inaczej powędrowałby gdzieś do lasu. Miał za zadanie też pilnować kurnika. Na pewno z racji bliskiego sąsiedztwa z lasem, pod dom podchodzili różni nieproszeni goście, a Burek dbał o to, aby ich nie dopuścić do zagrody. To niesamowite, ale tak właśnie jest. Kiedy słyszę nocne szczekanie, stoję się na powrót małą dziewczynką, zasypiającą w domu dziadków. Czuję się jak w kokonie. I to wspomnienie wyzwała u mnie bardzo ciepłe uczucia.

Nie ma już domu babci Rozalii ani babci Rózi, ani też domu, w którym się urodziłam. Tak naprawdę to budynek został, tylko mieszkają tam obcy ludzie. Gdzie więc mogłabym szukać śladów przeszłości, gdyby nie pamięć i wspomnienia? Jest takie jedno miejsce, które łączy moje obie babcie. Miejsce, które było dla nich zawsze ważne, otoczone czcią i szacunkiem. Kalwaria Zebrzydowska. Miejsce pielgrzymowania po drózkach i w ciszy spotkania z Bożą powierniczką – Maryją. Obie moje babcie pielgrzymowały do tego miejsca i powierzały Matce Boskiej swoje troski. A życie ich nie rozpieszczało, nie tylko dlatego, że żyły w trudnych wojennych i powojennych czasach, ale z powodu osobistych przeżyć.

Obie moje babcie pochowały swoje dzieci. Babci Rózi zmarły bliźnięta jeszcze w okresie niemowlęstwa, a babci Rozalii kilkudniowa córeczka. Kiedy odwiedzam Sanktuarium Maryjne w Kalwarii, przeżywam coś szczególnego. Jestem w miejscu, w którym one bywały, klęczę przed cudownym obrazem i składam ręce w modlitwie, tak jak one niegdyś. Powierzam Maryi moje dzieci i moje życie, proszę o łaski zdrowia dla całej rodziny. Czerpię siłę z tego miejsca, tak jak one. I chociaż moje życie jest diametralnie inne od ich życia, to w tym miejscu spotykamy się, a ja czuję ich obecność. Zaczęłam to miejsce doceniać całkiem niedawno, chyba od kiedy mój dom rodzinny nie jest już moim domem.

Ten dzień powraca co roku

Ten dzień jest ważną datą, tak jak wszystkie dni narodzin moich dzieci i pozostałych wnuków. Ale jest też ważny z powodu, o którym nie opowiem, bo nie jestem gotowa na operację na otwartym sercu, mogę podzielić się tylko moimi obierkami. Takie małe niby nic nieznaczące skórki, ale przecież jakże wartościowe ze względów odżywczych. Tak jak dzieciństwo, które – pomimo że trwa najkrócej – ma kolosalny wpływ na to, co następuje potem.

19 sierpnia 2020 r. Środa. Ciepły, pogodny dzień.

– Halo! Cześć moja kochana jubilatko!

– Cześć babciu.

– Karolciu, jesteś cudowną młodą dziewczyną. Śliczną i bardzo mądrą. Życzę ci, abyś spełniała swoje marzenia. Nie rywalizuj i porównuj się z nikim, bo nikomu nie musisz udowadniać, że jesteś mądra i lepsza od niego. Wygrywaj tylko ze sobą, bo to prowadzi do sukcesu, a przede wszystkim do szczęścia.

– Wiem, babciu...

– Wszystkiego najlepszego, mój skarbie! Czy doszła przesyłka urodzinowa?

– Oj, tak, dziękuję bardzo. Karta do Empiku, super! Właśnie zaraz ją zrealizuję, bo wszystko już przeczytałam, a wiesz, babciu, że bez książek nie mogę żyć – śmieje się. – Szkoda, że nie spotkamy się urodzinowo. Ale mama mówi, że teraz jest ciepło i w miarę bezpiecznie, więc moglibyśmy spotkać się na tarasie. Może przyjedziecie w niedzielę?

– Jeśli utrzyma się pogoda, to rzeczywiście chyba przyjedziemy. Pa, kochanie.

– Pa, babciu.

– A daj mi jeszcze mamę.

– Okej.

– Cześć córeczko.

– Cześć mamuś.

– Wiesz... dziękuję ci za ten dzień.

– A, proszę bardzo... – śmieje się serdecznie.

Zakończyłam moją opowieść otoczoną pajęczą nicią. Zastanawiam się, jakie wspomnienia pozostawię moim wnukom? Kim dla nich jestem? Co zapamiętają z naszych relacji? Jakie powidoki pozostaną w ich świadomości i sercu?

Tego nie wiem. Ale wiem, jak bardzo je kocham, a kiedy słyszę teraz przez telefon słowa najmłodszej wnuczki Lenusi: „Babciu, kiedy będę mogę do cie psyjechać. Baldzo tęsknię. Chciałabym cię psytulić tak mocno, mocno...”, to czuję, jak serce rozpada mi się na kawałki.

Listopad, 2020 rok.